Nr. 8. Poznań, Niedziela 24-go Lutego 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

We własnej sprawie.

Szanowna Redakcyo!

Z sercem, pełnem wdzięczności, biorę dziś pióro do ręki, aby podziękować gorąco Redakcyi „Pracy" za energiczne wzięcie mnie w obronę przed p. Janem Brejskim, redaktorem „Gazety Toruńskiej."

Ponieważ szkoda mi miejsca na polemikę z p. Br., w kilku zdaniach streszczę uwagi, które mi się nasunęły przy czytaniu jego artykułu o mnie:

1. Pan Brejski dużo prawi o swem poczuciu koleżeńskości i dziennikarskiej etyki: *konstatuję tu, że zamierzając pisać moją pracę o „Wychodźtwie polskiem w Niemczech," jak do innych pism, tak samo i do „Gazety Toruńskiej" zwróciłem się z całem zaufaniem i po koleżeńsku z prośbą o pomoc* i udzielenie informacyi, gdyż do tego czasu uważałem p. Brejskiego za człowieka godnego i w znaczeniu etyki dziennikarskiej — uczciwego. Odpowiedzią na tę moją prośbę do p. Brejskiego było owo „ostrzeżenie" w „Gazecie Toruńskiej." *Tak wygląda koleżeńskość p. Brejskiego w oświetleniu faktów!* Dziennikarz uczciwy, mając jakiekolwiek wątpliwości co do mojej pracy, byłby mi na mój list odpowiedział, że jego zdanie jest odmienne, a wtedybym ja go objaśnił, w jaki sposób chcę przeprowadzić moję publikacyę i wątpliwości jego uspokoił.

2. Pan Brejski robi mi zarzut z tego, że zamierzając między innemi pisać i o wychodźtwie polskiem w Westfalii nie zgłosiłem się do tamtejszych prowodyrów Polaków. *Konstatuję, że twierdzenie p. Br. jest fałszem. Jeszcze w roku zeszłym pisałem w tej kwestyi zarówno do „Wiarusa Polskiego" w Bochum, jak i do p. Funtowicza w Essen, jako przewodniczącego „Związku Polaków."* Naturalnie nie prosiłem ich o żadne pozwolenie pisania o Polakach w Westfalii, stanowią oni bowiem tylko cząstkę wychodźtwa, odniosłem się do nich tylko z prośbą o informacye. Sądzę, że najlepszym moim tytułem prawnym do opracowywania tej kwestyi jest fakt, iż z samej Westfalii w ciągu ubiegłych trzech miesięcy otrzymałem blisko 500 listów z informacyami, od ludzi, z których każdy uważał mnie za godnego i zdolnego do opracowania tej sprawy.

3. Odmawiam p. Brejskiemu prawa do oceniania moich kwalifikacyi publicystycznych lub naukowych. *Wprawdzie tak znakomitego czynu, jak podróż pana Brejskiego do Rzymu, nie dokonałem, ale egzamina, uprawniające mnie do społecznej, naukowej i literackiej działalności zdawałem przed nieco wyższemi instancyami naszego społeczeństwa, niż pan Brr..ejski.* Radzę mu, niech przeczyta swoją własną recenzyę zamieszczoną przed 4 laty z moich „Ech protestu" *we własnej swej gazecie* — a będzie wiedział, na czem się opierają moje publicystyczne kwalifikacye. Niech przeczyta ocenę mego „Powstania poznańskiego w r. 1848" w „Dz. Poznańskim", a będzie wiedział co sądzić o moich kwalifikacyach naukowych. Niech przeczyta ocenę krajowej komisyi konkursowej o moim dramacie, oraz recenzye po przedstawieniu tegoż w teatrze lwowskim — a będzie coś wiedział o moich kwalifikacyach literackich.

4. W polemikę z człowiekiem, który pojąć nie może, że znalazł się ktoś tak śmiały i nie zapytał się *jego o pozwolenie*, zamierzając pisać o wychodźtwie polskiem w Niemczech — bawić się nie myślę, bo widocznie pomiędzy funkcyami mózgowemi, a myśleniem normalnego człowieka zachodzi różnica, którą by tylko psychjatra mógł wytłómaczyć. Natomiast muszę na jedno zwrócić uwagę: w artykule swym pan Brr..ejski pisze lekceważąco o mojem wydaleniu z Poznania:

„p. Rakowskiego nie spotkało *nic więcej* (!!), niż tylu i tylu robotników zakordonowych —"

Nie w imieniu własnem, bo ja w fakcie mego wydalenia przymusowego chluby nie szukam ale *w imieniu tych 40 stu tysięcy Polaków, wydalonych przed laty z Prus i w imieniu tych tysięcy robotników naszych, rok rocznie wydalanych, któ-*

rych też i krzywdy nie odczuwasz i których brutalne wydalenie traktujesz jako bagatelkę —

odmawiam Ci, panie Brejski, kwalifikacyi do polskiego i patryotycznego zrozumienia krzywd naszemu ludowi wyrządzonych i wyrządzanych! *W imieniu tych tysięcy wydalonego na chłód i głód ludu polskiego, wzywam Cię, panie Brejski, abyś na przyszłość nie bagatelizował sobie krzywd naszych polskich robotników, skazanych na tułaczkę i wygnanie.*

Dr. Kazimierz Rakowski.
od roku 1895 honorowy członek Towarzystwa Robotników katolickich w Berlinie.

Nowy zamach.

Smutną nowiną rozpocząć nam wypada numer dzisiejszy!

Oto ubiegłej soboty, w parę godzin po rozesłaniu ostatnich numerów naszego pisma, a więc już późno wieczorem, pełnomocnicy policyi — aż pięciu, z rozporządzenia prokuratoryi państwa odbyli w biurze redakcyi i administracyi „Pracy" bardzo ścisłą, kilkogodzinną rewizyą, poszukując rękopisów rozmaitych artykułów. Naturalnie nic nie znaleziono, a autorowie wszelkich drukowanych w ostatnim czasie artykułów mogą być pewni, że redakcya „Pracy", czuwając nad osobistem bezpieczeństwem swych przygodnych i stałych współpracowników, nigdy ich na jakiekolwiek przykrości nie narazi i zawsze ich *sobą* zasłaniać będzie. Piszemy te słowa szczególniej do tych kilku osób, do których list nasz uspokajający mógłby nie dojść, a które z powodu swego stanowiska społecznego mogłyby być zaniepokojone przypuszczeniem, że ich artykuły w rękopisie dostały się w ręce policyi.

Nie mogąc odnaleść śladu pochodzenia artykułów, policya nie zawahała się wobec pisma naszego wykonać czyn, niebywały w dziejach dziennikarstwa polskiego pod pruskim zaborem: oto nagle, *bez wszelkiego poprzedniego badania i śledztwa aresztowano i uwięziono naszego odpowiedzialnego redaktora, p. Alfonsa Kaniewskiego, w chwili, gdy tenże zabierał się ku domowi.* Nie pozwoliwszy mu porozumieć się z kimkolwiek, ni pożegnać się z żoną i dziećmi, oddać wreszcie choćby klucze od domu, zabrano go do więzienia...

System ten przypomina bardzo żywo używaną przez żandarmów rosyjskich metodę nagłego aresztowania podejrzanych na ulicy, w pierwszym lepszym sklepie, w teatrze, w domu prywatnym, gdziekolwiek bądź!...

Do takich więc już stosunków doszliśmy w ucywilizowanych Prusach, które niedawno obchodziły swój jubileusz dwóchsetletni: szybko one kroczą na drodze rozwoju i uproszczenia stosunków pomiędzy policyą, a obywatelami kraju: dojdziemy wreszcie może do tego, że każdy policyant będzie miał prawo zaaresztować i zaciągnąć do więzienia każdego, kto mu się niespodoba, a tam w więzieniu już pokaże się, czy jest winny, czy nie — —

Każdy z naszych odpowiedzialnych redaktorów, stając na swym trudnym posterunku, wie, że od chwili przyjęcia na siebie odpowiedzialności za to co pisze „Praca", każdej minuty musi być gotów na pójście do więzienia i odpokutowanie poświęcenia pełną karę więzienną za *słowa prawdy rzucone w oczy silniejszym przez słabszych:* więc też ani policya ani prokuratorya nie mogła chyba przypuszczać, aby p. Kaniewski miał chęć przez ucieczkę ratować się od przykrości procesów. Więc skądże nagłe aresztowanie, bez procesu, bez wstępnego śledztwa, — i to wykonane już nieomal późną nocą, a tu przecież trzeba następny numer zacząć drukować i mieć już zastępcę uwięzionego redaktora!

Wydawnictwo nasze naturalnie wniosło zażalenie do ministra przeciw tak nagłemu aresztowaniu redaktora, bez procesu, bez wyroku, bez dania uwięzionemu możności oddania spraw bieżących wydawnictwa w ręce zastępcy, — na ręce zaś całego społeczeństwa polskiego składamy niniejszem protest przeciw takiemu postępowaniu z nami.

A do was, Czytelnicy, w tej tak poważnej chwili odzywamy się, prosząc, abyście zauważyli dobrze, na jakie straty, na jakie krzywdy narażony jest dziś w Prusach każdy, kto w obronie społeczeństwa przed nawałą hakatyzmu rzuca tysiącom ludu hasło *samopomocy, hasło ukochania języka ojczystego i wiary.* — Kto wykazuje szereg krzywd wiekowych i pyszniącemu się przeciwnikowi rzuca słowa: mane-tekel-phares!

Niechajże te ofiary, te więzienia i aresztowania nie idą na marne.

Niech wieść o nich w najzatwardzialszych, najobojętniejszych sercach budzi skrę ducha polskiego, niech słabym dodaje siły, mocnych niech napełnia przekonaniem, że prawda wreszcie zwyciężyć musi, a wszystkim niech wlewa w dusze to przekonanie, że choć po ciernistej drodze nam iść sądzono, ale wreszcie przecież do ziemi tej obiecanej — dojdziemy.

Słodko jest niewinnie cierpieć za swe społeczeństwo, słodko jest widzieć — tak jak my widzimy — że każdy taki czyn policyi wobec nas dokonany, toruje żelazną prawicą drogę słowom naszym do serca ogółu, ale los chciał widocznie, abyśmy w tej właśnie chwili doznawać musieli uczucia przykrej gryzącej goryczy na widok tego, że we własnym, w polskim obozie znajdują się ludzie, co nam kamienie rzucają pod nogi, gdy ze słowem prawdy dla Prusaków i ich państwa, z zachętą ukochania sprawy ojczystej na ustach idziemy między lud, aby budzić serca, podnosić ducha. — —

Uwięzienie naszego odpowiedzialnego redaktora prawdopodobnie ma związek z artykułem naszym na jubileusz Prus napisanym. Żydowska tutajsza „Posener Zeitung" artykuł ten w całości przetłomaczyła, równocześnie zaś zrobiła apel do gazet polskich i do duchowieństwa, aby nas za wypowiedzenie prawdy Prusakom zganiły. Na to „Goniec" słusznie odesłał ją zamiast do naszego duchowieństwa — do rabi-

nów, aby tam szukała pomocy iradу przeciwko „Pracy."

A jednak „Orędownik" wtedy odezwał się sam jeden w całej prasie polskiej na apel niemieckiego pisma i solidaryzując się z hakatystami, ogłosił solenną deklaracyę przeciwko „Pracy", zaznaczając, że — jak „Posenerka" tak i on — uważa artykuły nasze za przynoszące szkodę Polakom. Do tej zacnej kompanii, złożonej z hakatystyczno-żydowskiej kliki i „Orędownika" przyłączył się także p. Jan Brejski z Torunia i nazwał nasze artykuły „szalonymi". Na zdanie tej trójki będzie się powoływał teraz prokurator w procesie przeciw nam i żądając podwyższenia kary, powie: „Patrzcie, wszak znalazła się nawet w obozie polskim deklaracya przeciwko artykułom „Pracy" wymierzonym w Prusaków!

I dobrą będziesz miał broń na nas, panie prokuratorze — a bolesną nam ranę zadasz tą bronią, bo ci ją nasi *własni rodacy w dłoń włożyli!*

Nas to w naszych usiłowaniach nie ostudzi, ale — panie Dr. Szymański i p. Janie Brejski — wszak rachunki za nasze słowa i za nasze artykuły my z prokuratoryą załatwiamy, a to, co tam płacimy więzieniem i karą, powinno chyba wystarczyć Prusakom: zbytecznie więc ich panowie bronicie — oni mają swoje sądy, swą policyę i swe więzienia i — po mistrzowsku umieją nas zwalczać — pomocy waszej w obronie nie potrzebują...

Ludziom, którzy nie pojmują, jak można narażać się na więzienie, aby tylko przemówić żywem słowem prawdy do ogółu, odpowiadamy, że nie lekkomyślność kieruje piórem naszem, ale to głębokie przeświadczenie, iż za cenę naszego więzienia każde słowo nasze uwięźnie na zawsze w serca ludzi tysięcy. *To nie pusty dźwięk — te słowa prawdy, za które pokutujemy więzieniem!* Więzienna kara nie może być wieczną, a ten duch, który słowem naszem budzimy, pozostaje w społeczeństwie na zawsze, szerzy się, jak lawina wzrasta i z ojca przejdzie na syna: *to boski posiew, choć okupiony karą!*

A jeśli „Orędownik" twierdzi, że artykuły nasze krzywdzą Prusaków, to niechaj zapozna się bliżej z ich historyą, niech się zagłębi w historyę zdrady, fałszów, podstępów i bezprawia, a będzie miał potwierdzenie słów naszych. Jeszcze po wojnie francuskiej, jak stwierdzają niemieccy pisarze, nasz lud prosty czuł się pruskim i był wiernym poddanym królów pruskich. Dlaczegoby nie miał się dowiedzieć historycznej prawdy o Prusakach? Prawda nigdy nie szkodzi, a nam ta prawda zrobiła z poddanego pruskiego — polskiego obywatela. Dziś ten chłop wskutek praw antypolskich czuje się uciśniony, a dzięki hakacie, on polskie barwy w duszy nosi.

Wreszcie nasz dorobek polityczny ostatnich dziesięcioleci z pewnością nie dorobkiem tych Polaków, co mężnie stają w obronie uciśnionych Prusaków przeciw agitacyi polskiej i polskim artykułom, *ale jest dorobkiem tych, co mówili prawdę głośno i dobitnie, bez względu na skutki i kary.*

Byli przed nami tacy, co tak pisali i co tem samem gorącem, ognistem słowem przemawiali do ludu polskiego, — będą i po nas tacy; my sobie uważamy za zaszczyt, że możemy być jednem ogniwem w nieprzerwanym łańcuchu usiłowań rozbudzenia ducha narodowego i że *na nas nie cięży ten wstyd znajdowania się po tej samej stronie, co zżydziały scribifax z „Posnerki"...*

„Praca"

Aresztowanie redaktora.

W nawiązaniu do powyższego artykułu, omawiającego nagłe aresztowanie naszego redaktora, p. Kaniewskiego — dorzucić musimy jeszcze kilka uwag.

By wtrącić do więzienia biednego redaktora polskiego, któremu się ani nie marzy o ucieczce a już najmniej o oporze — zjawia się w konstytucyjnem państwie pruskim o późnej godzinie wieczorem aż dwóch tajnych komisarzy i trzech tajnych policyantów.

Wobec tego dziwić by się trzeba, że nieodkomenderowano całego pułku wojska i niewytoczono dział — lecz do sprawy. Na nasze zapytanie o powód i cel przybycia, oświadczyli nam przedstawiciele władzy policyjnej, iż na mocy rozporządzenia król. prokuratoryi aresztują natychmiast redaktora, p. Kaniewskiego za artykuły, mające poledz karze. Zabrano się też skrzętnie do rewizyi. Przetrząśnięto wszystkie biurka, szafy i szafki redakcyjne, przerzucono książki, przejrzano starannie każdy kącik, ażeby znaleść rękopis jaki „Vestera" — ale daremnie. Zadowolniono się ostatecznie zabraniem kilku pozostałych jeszcze egzemplarzy „Pracy", zawierających artykuł zatytułowany „Mane, Tekel, Phares".

Niewiemy, co prokuratorya w artykule tym uznała za niezgodne *z prawdą dziejową*, o którą p. Vesterowi głównie chodziło, gdy w zwięzłych słowach pragnął dać pogląd na rozwój pruskiego państwa podczas minionych lat 200-tu. Wiemy chwilowo tylko, że do rozkazu uwięzienia naszego redaktora posłużył paragraf 131 ustawy prasowej, grożący karą za „podburzanie do gwałtów" („Anreizung zu Gewaltthätigkeiten"). Ileż to artykułów prasy polskiej inkryminowano już na mocy powyższego paragrafu, ilu redaktorów bronić się musiało wobec oskarżeń do paragrafu tego nawiązanych, ile kar surowych posypało się dzięki jego elastyczności! A chociaż ów sławny paragraf kodeksu karnego o „podburzanie do gwałtów" w każdym wypadku nieledwie znalazł potępiające oskarżonego zastósowanie przy wydawaniu wyroku, to jednak ani jednego z owych wyroków potępiających nie zdołano oprzeć na fakcie, iżby artykuł inkryminowany *istotnie był pobudził któregobądź z czytelników do gwałtu.* Niechajby sąd przed zawyrokowaniem na mocy paragrafu 131 postarał się zawsze

z pomocą policyi, czujnej przecież i sprawnej o wyszukanie choć jednego z pośród czytelników, któryby zeznał, że pod wrażeniem tego lub owego inkryminowanego artykułu uczuł się do gwałtu podniecony!! Wszakże czyniąc wymiar sprawiedliwości opierać się powinien zawsze na dowodach, a jeżli artykuł opiewa coś o „podburzaniu“, to należałoby postarać się o świadka szczerze polskiego z pośród czytelników, któryby zeznał, iż go rzeczywiście artykuł, sprowadzający karę na głowę redaktora, podniecił do gwałtu, albo chociaż wzbudził uczucie, łatwo do gwałtu porywające.

Takich świadków i takich zeznań, mogących dowodnie uzasadnić zastósowanie paragrafu 131 kodeksu karnego, obszerna kronika procesów przeciwko dziennikom polskim nie mogła dotąd ani razu zarejestrować i zapewne też w procesie, jaki poprzedziło aresztowanie naszego redaktora w zeszłą sobotę, ani świadków, ani zeznań, potwierdzających faktycznie winę, nie będzie żadnych. Artykuł pod tytułem *„Mane, Thekel, Phares“*, pióra p. Vestera, opiewał coś o gwałtach, prawda! Ale mówił o tych, które w przeszłości Prus stwierdzili i zapisali dziejopisarze *nawet niemieccy.* Że rozrost Prus w potęgę państwową dokonał się trybem *zdobywczym i zaborczym,* temu nikt zaprzeczyć nie może, kto wie, z jakiego państewka dzisiajsza monarchia o obszernem terytoryum powstała. Że z każdorazowych przyrostów terytoryalnych nikt Prusakom prezentów nie robił, tylko że oni mimo wszelkie protesty sami zabierali, gdzie i co się dało, czy to było ładnie czy też nie ładnie, — to stoi w każdej księdze dziejów nowożytnych. Że przymierza z Prusami zawodziły niekiedy (o trójprzymierzu współczesnem nie było mowy!) tego sobie także nie wysnuł p. Vester z własnej fantazyi, jeno przytoczył z faktów historycznych, których się nie dekoruje.

Że wreszcie nam Polakom, jako narodowi, żyć pragnącemu i żyć mającemu prawo, działo się źle po Ojczyzny naszej rozbiorze, (który nazywają *gwałtem strasznym* historycy całego świata), to potwierdza długi szereg niezatartych w pamięci i w sercu naszem wypadków, potwierdzają niezliczone, a dotąd istniejące ustawy, rozporządzenia i szykany antypolskie. Wyparcie naszego języka ojczystego z urzędów wszelkiej dykasteryi, wyrzucenie go poza progi szkół, śledzenie nauki tegoż języka naszego pod strzechą rodzinną, ściganie tych, którzy ubogiej dziatwie dla nauki mowy macierzystej bezinteresownie czas poświęcają, ograniczenie, a następnie zniesienie nauki religii w języku polskim, uprzątanie nas z ziemi praojców, a rozsiedlanie Niemców z pomocą 200 milionowego kolonizacyjnego funduszu, do którego na własną zgubę podatkami przykładać się jesteśmy siłą państwa zmuszeni, wydalenie 40,000 Polaków nagle pozbawionych egzystencyi, wysiedlanie urzędników Polaków, szydercze wyśmianie traktatów wiedeńskich i monarszych przyrzeczeń, naruszanie konstytucyi całym bezprzykładnym systematem praw antypolskich, a wreszcie uszczuplanie nam chleba na każdym kroku z pomocą takiego „Ostmarkenvereinu“, który nawet urzędnikom bywa zalecany — otóż te i wiele innych nie zarejestrowanych tutaj krzywd jeszcze nie usprawiedliwiają goryczy naszej, niechęci i wstrętu do wrogiego nam systematu? Czyż jest gdzie na świecie dość bez wstydu lub głupoty, ażeby żądać od nas za to wszystko miłości? A toż ten sam *rejestr krzywd* powinien przedewszystkiem podledz paragrafowi 131-mu, bo krzywdy te stokroć bardziej, niż najognistszy artykuł *„podburzają do gwałtu“*, a przynajmniej wzniecić są zdolne rozdrażnienie, wzburzenie i nienawiść głęboką.

A wszakże siedzimy cicho i spokojnie, kryjąc na dnie duszy uczucia, które przecież nigdy nie rodzą się same z siebie, jeno budzą się pod siłą doznanych wrażeń. Niechaj zmieni się systemat krzywd, a zmienią się wrażenia i nastrój będzie inny! Nic też dziwnego że z przepełnionej goryczą duszy narodu wypłynie słowo oburzenia, jako echo wierne usposobienia przeciętnego Polaka. Nie dziwić się, że zabrzmi niekiedy głośniejszy wyraz protestu przeciwko upośledzaniu narodu, który padł ofiarą bezprawnej zaborczości. A skoro wyraz taki zawiera prawdę dziejową, to niechżeby ta *prawda* właśnie była przedmiotem rozwagi poczciwej i sądu!

Narodowiec.

Nasze towarzystwo poznańskie.

Odwiedzał mnie przed kilku dniami znajomy mój dobry z za kordonu, Warszawiak. Był tylko 24 godziny w Poznaniu, a chciał w tym krótkim czasie choć po wierzchu poznać stary Przemysława gród, zobaczyć przedewszystkiem historyczne jego pamiątki. Poszliśmy więc razem nasamprzód do katedry na tumską wyspę i tam zadumali się przy królewskich posągach Mieczysława i Wielkiego Bolesława, zadumali się przy marmurowych grobowcach dawnych prymasów Polski, tych niemych a przecież tak wymownych świadkach naszej przeszłości; z powrotem, mijając most Chwaliszewski, wsłuchaliśmy się w ciche Warty szepty chcąc wysłyszeć wieści niesione od braci z pod Krakowa, Częstochowy i Kalisza, a w końcu weszliśmy na starą ratuszową wieżę, by tam skąpać się w powietrza błękicie i po szerokich wielkopolskich rozejrzeć się łanach.

Warszawiak robił swoje spostrzeżenia co do miasta i jego mieszkańców; przedewszystkiem zrobił nie bardzo pochlebną dla nas uwagę, że „Poznań przecież jeszcze nie jest tak zaszwabiony“, jak sobie wyobrażał; szczególne bo nieraz mają Warszawiacy o nas i o naszej sile odpornej pojęcie; z daleka wyobrażają sobie, że my tu już wszyscy umalowani na biało i czarno, aż przyjrzawszy nam się bliżej z pewnem zdziwieniem cieszą się, nad życia polskiego objawami u nas, nad niejednym krwi polskiej gorętszym wybuchem. Tematu do rozmowy było więc dużo, bardzo dużo, jak to zawsze u nas pędzących i tu

i tam ciężki żywot niewoli i lubiących — jak wszyscy nieszczęśliwi — odkrywać nawzajem swoje rany.

Szybko nam dzień minął i noc na gawędzie i doprawdy zawcześnie trzeba było pobierać się i spieszyć na pociąg ranny. Kiedyśmy już byli na dworcu i pociąg miał za chwil kilka wyruszyć, przyjaciel mój rzecze mniejwięcej w te słowa: „Cieszę się niezmiernie, żem poznał przecież Poznań, choć mury tylko i ulice jego dzisiejsze i stare, odwieczne jego pamiątki. Szkoda, że wyjeżdżam tak wcześnie, nie poznawszy waszych ludzi dzisiejszych. Powiedz mi, cóż wasze „towarzystwo“ poznańskie? — Nasze „towarzystwo“? odparłem z pewnem zdziwieniem w głosie, namyślając się, jaką tu dać odpowiedź zwięzłą a dosadnią, lecz w tem konduktor świsnął, pociąg ruszył, jeden tylko uścisk dłoni jeszcze, jedno „bywaj zdrów, bracie“ — i Warszawiak kochany pojechał bez odpowiedzi, a ja zostałem z jego zapytaniem. Nie wiem, któremu z nas lepiej? Bo on pojechał i pewno zapomniał już o swem pytaniu, a mnie ono prześladuje do tej chwili.

„Nasze *towarzystwo* poznańskie“ — a to mi zabił klina, myślę sobie nieraz i do wcale niewesołych rozmyślań pobudza mnie to pytanie. Nasze „towarzystwo,“ — my wprawdzie mamy w Poznaniu bardzo wiele towarzystw, ale *towarzystwa,* darujcie, nie mamy. Cóż to znaczy, jak to rozumieć, co to jest owo „towarzystwo“?

Wyraz „towarzystwo“ ma w języku naszym, (jak i w tylu innych językach wyraz odnośny) n. p. société, gesellschaft, society) podwójne znaczenie. Nasamprzód rozumiemy przezeń jakieś ograniczone liczbą grono ludzi t. zw. członków związane ze sobą wspólnym, praktycznym, widocznym celem, czy zawodem, mające swoje ustawy obowiązujące członków, i jako wyraźny związek mogące tylko istnieć z pozwoleniem państwowej władzy. Wszyscy wiedzą, że istnieją na świecie takie towarzystwa, dajmy na to, kupców, rzemieślników, uczonych, lekarzy, adwokatów i t. d. Takich towarzystw mamy tu w Poznaniu, chwała Bogu, dosyć wiele; nie potrzebuję ich po szczególe wyliczyć; choćby teraz w karnawale dawały one żywy dowód swojego istnienia.

Po za tem rozumiemy, w ogólniejszem słowa tego znaczeniu, przez „towarzystwo“ pewną sferę ludzi, mieszkańców jednego miasta, czy okolicy bliższej lub dalszej, nie związanych ze sobą żadnemi wyraźnemi ustawami, nie ograniczonych żadną liczbą, a zbliżonych do siebie jedynie wymaganiami duchowemi, estetycznemi, mających wspólne potrzeby i upodobania umysłowe, mających jednem słowem jakąś wspólną krainę myśli i uczuć estetycznych, i jedynie mocą tych myśli i uczuć związanych ze sobą. Takie to znaczenie kładł we wyraz ten ów Warszawiak, pytając mnie o „towarzystwo“ poznańskie i takie to znaczenie kładę ja weń w tej chwili, kiedy piszę, że...... „towarzystwa“ poznańskiego nie ma wcale. Jakto? dlaczego? Czekajcie, odpowiemy.

Poznańczyk.

„Kölnische Volkszeitung.“

Nasza przyjaciółka z nad Renu.

Kto słyszał o Niemcach z czasów ich walk o niepodległość (Freiheitskriege), lub dowiadywał się o nich z Odyńca „Listów z podróży“, z przejścia Polaków przez Niemcy po r. 1831“, ten dzisiaj patrząc i z blizka na ten naród tak sfilistrzały, obrany z wszelkich szlachetniejszych porywów i idealnych dążności — pyta się co się to stało z tymi ludźmi.

Czy to nie ci sami, którzy przechodzili „Sturm u. Drangperiode“ a później szli na barykady?

I na to brzmi odpowiedź — nie, to inni.

Chcesz szukać prawdziwych Niemców, typowych figur Germanów, dobrodusznych, szlachetnych, ambitnych, spragnionych swobód i wolności, to idź w dzielnice Szwabii i Frankonii, nad Ren lub szukaj Welfów „na czerwonej ziemi.“ Reszta to krzyżacy — w pikelhaubach i mundurach lub bez tego garnituru, to nie członkowie narodu, którzyby mieli swoje własne przekonania i w ich imię śmiało głos podnosili, lecz chińskie figurki myślące i kiwające się po bizantyńsku.

Ztąd też my tutaj we Wielkopolsce mamy pojęcie, iż Niemiec to znaczy tyle co policyant, lub hakatysta, a w każdym razie tyle co pruski urzędnik. A nic lepiej nie świadczy o postępowaniu przedstawicieli tego narodu wobec nas, jak utarte zdanie powtarzające się w rozmowie we wszystkich naszych stanach: Niemiec, ale dobry człowiek.

To „ale“ wielce jest charakterystyczne. Ono mówi o całym systemie ekstyrpacyjnej polityki wobec nas, mówi o wszystkich prawach wyjątkowych, okłuciach i weksacyach, mówi o materyale urzędników, jaki rząd do naszych prowincyi przysyła, mówi o wszystkich kolonizatorach, którzy opuściwszy swe ojczyste strony tu na naszej skórze przychodzą zrobić — pieniądze lub karyerę.

Otóż tego rodzaju kreatur nie ma we wspomnianych dzielnicach Niemiec — tam urzędnicy są inni, inna prasa i inny sposób myślenia ludności — nie dziw więc, że wśród takich ludzi mamy zwolenników i przyjaciół. Wszędzie ich tam pełno, choć oni równo są głośni.

Najgłośniejsza — naturalnie płci żeńskiej — to stara przyjaciółka nasza: „Kölnische Volkszeitung.“

40 lat wiernie dochowuje nam przyjaźni — bo walczy za te same ideały, którym i my hołdujemy: za religią i wolność.

W starej stolicy elektorów kolońskich przy Marzellenstrasse 35—43 widnieje wielki nowy, niedawno wykończony gmach, do którego ze starej swej siedziby co dopiero nasza przyjaciółka się sprowadziła. Gmach ten wykonany z piaskowca w staro-kolońskim stylu przejściowym z gotyki do renesansu, miłemi swemi architektonicznemi formami, rzeźbami i obiciami metalowemi nader ujmujące robi wrażenie.

W budynku tym znajduje się nasamprzód sala zostawiona do użytku publiczności. Są tu wyłożone wszelkiego rodzaju książki adresowe, plany jazdy kolei żelaznej, mapy jeograficzne, pisma peryodyczne, papier listowy, jest także telefon.

Na pierwszem piętrze mieści się biuro dla książkowości i korespondencyi — dalej lokale, przeznaczone na kantor dla drukarni i księgarni, wreszcie pokoje redakcyjne i drukarnia.

Tu jest ognisko tych uczuć i myśli, które często wręcz na materyalną szkodę pisma, mają śmiałość ujmowania się za naszą sprawą — a dzieje się to najzupełniej bezinteresownie, tylko dla miłości idei. I nie ma tego prawa gwałconego wobec nas, w którego obronie „K. Volksz.“ by nie wystąpiła, nie ma niegodziwości hakatystów, którejby nie potępiła, nie ma słusznego żądania z naszej strony, któregoby nie poparła. Zgrzytają na to nasi najserdeczniejsi zębami, odsądzają ją od patryotyzmu — ale robi swoje dalej — dla idei.

Podajemy szkic niniejszy celem informacyi naszych Czytelników, jakich przyjaciół mamy między Niemcami — celem uzupełnienia ich sądu o tym narodzie. Sprawiedliwość przedewszystkiem! — Mamy też więc i uczciwych szlachetnie myślących Niemców — ale tam hen daleko, nad Renem — tu u nas rycerski Niemiec jak taki rotmistrz von Treskow z Radojewa pod Poznaniem, to wyjątek

Do wyjątków też zaliczyć trzeba następujący wiersz, od szlachetny Niemki pochodzący, a nam nadesłany. Niech by ten wiersz zechcieli przeczytać z uwagą ministrowie pruscy niewyłączając p. Podbielskiego i hakatystów — a może nabraliby innego przekonania o traktowaniu Polaków.

Oto treść wiersza:

Aus vollem Herzen schlag ich in die Saiten
Für ein verlassenes, für ein armes Land. —
Doch nicht des Aufruhrs Glocke will ich läuten,
Wass soll das Weib dennn in dem Weltenbrand?
Doch statt des Schwert's die Leier in der Hand.
Das Schwert vernichtet, doch die Geisteswaffen
Sie bauen auf, sie wirken, fördern, schaffen.

* * *

Ein edles Volk im Lorbeerkein gebettet,
Das statt der Kette einst die Krone trug
Das Deutschlands Freiheit glorreich einst gerettet,
Ist jetzt beladen mit der Knechtschaft Fluch,
Es ist gebunden, fürchterlich gekettet! —
Und ach! wer war's, der's in Ketten schlug?
Auch du *— mein Vaterland bist es gewesen,*
Wie es in der Geschichte Buch zu lesen.

* * *

Ihr Väter, sagt wie war Euch da zu Muthe,
Als Euch der Franke in die Fesseln that
Als er mit gottvergessnem Uebermuthe
Den Tempel Allerheiligsten betrat;
Als er Gesetze schrieb mit deutschem Blute —
Und blut'ge Früchte trug die blut'ge Saat —
Ihr habt geweint, *bekennt es unverholen*
Und wist! — **Dieselben Thränen weint jetzt Polen.**

* * *

Allein der Höchste hat es wohl geführet,
Er machte Deutschland wieder deutsch und frei,
Nur seine Macht hat herrlich triumphiret,
Nur Er zerbrach das Joch der Tyrannei.
Darum, ihr Polen, nicht den Muth verlieret,
Der Vater hört auch Euer Angstgeschrei
Und straft er gleich mit schweren Vaterhänden,
So kann er dennoch alles Unglück wenden.

* * *

O, könnte ich die Leiden, die Euch drücken
Verhindern! — *doch ich hab nur mein Lied*
O, möcht' es nur in wenig Augenblicken
Erfreuen Euer tief betrübt Gemüth! —
Doch unbeschreiblich wäre mein Entzücken,
Wenn nicht der Deutsche mehr den Polen flieht,
Wenn beide wirken brüderlich umschlungen. —
Dann hätt ich doch vergebenst nicht gesungen.

Emilie L.....

Korespondencya z Galicyi.

Przed kilku laty wygłosił na zjeździe dziennikarzy p. Jan Amborski odczyt o sprawie oświaty ludu w Galicyi. Warto dziś kilka ustępów z tego odczytu przypomnieć, aby zrozumieć jakiemi drogami i dlaczego powoli się szerzy dziś oświata ludowa w Galicyi.

Sprawą oświaty ludu od bardzo dawna zajmowano się w Galicyi, ale nie systematycznie. Lata 48 były chwilą, w której nagle ukazało się wiele wydawnictw ludowych, poczem równie nagle ruch wszelki w tym kierunku ustał. Od owej chwili wszakże w różnych odstępach czasu przedsiębrano wydawnictwa ludowe, już w formie książeczek, już to czasopism; jedne i drugie rozdawano bezpłatnie, z małą korzyścią, bezpłatność ta bowiem budziła nieufność włościan. Stan czytelnictwa wszakże nie mógł się rozwinąć głównie z tego powodu, że szkół było mało, trudności w rozszerzaniu druków wiele, więc i ofiarność prywatna nużyła się prędko. Czasopisma w bliższych nam czasach trzymały się dłużej (wspomnę tu np. „Dzwonek“) prenumerowane dla ludu przez dwory i duchowieństwo; włościanie sami abonowali bardzo mało.

W opinii publicznej jednak myśl o oświacie ludu nie zasypiała; jako dowód przytoczę zebranie przy sposobności rocznicy 1772 roku funduszu na szkoły, który dziś w kwocie przeszło 100.000 złr. zostaje pod kierownictwem Wydziału krajowego, a roczny sześcio tysięczny dochód rozdawany bywa gminom niezamożnym na budowę szkółek.

Praca nad oświatą ludu na szersze rozmiary rozpoczęła się dopiero, gdy szkoły ludowe przeszły w ręce kraju; wzrastająca ich liczba, aczkolwiek ten wzrost był umiarkowanie szybki, przygotowywała grunt do rozszerzania się czytelnictwa ludowego; w miarę jak powiększała się cyfra pokoleń umiejących czytać, pojawiały się wydawnictwa ludowe nieperyodyczne i peryodyczne, a zarazem powstawały ciała zbiorowe oświatę ludu mające na celu.

Już w 1866 r. kółko ofiarnych ludzi utworzyło komitet, na którego czele stał Alfred Młocki i przystąpiło do systematyczniejszego wydawania książeczek ludowych i sprężystszego ich rozpowszechniania bezpośrednio między ludem wiejskim, a z pominięciem zwykłych dróg handlowych. — Pierwszem zaś na wielkie rozmiary uorganizowanem ciałem było Towarzystwo Oświaty ludowej, w 1867 r. powstałe.

Lwowskie towarzystwo oświaty ludowej w 1893 liczyło 18 wypożyczalń i czytelń miejskich; 4 biblioteczki w koszarach wojskowych i 236 czytelń wiejskich zawierających 37,543 dziełek. Tarnowskie, niedawno zreorganizowane (założ. w 1882) ma czynnych czytelń miejskich 8, wiejskich 27! w jednych i drugich odbywają się odczyty i pogadanki naukowe niedzielne. Członków 142. Krakowskie powstało w 1882 roku. Członków liczyło około 500, posiadało z końcem 1893 r. 578 czytelń miejskich i wiejskich z 87,523 dziełkami.

Razem przeto te trzy towarzystwa stworzyły na całej przestrzeni kraju 870 czytelń, a liczba ich rośnie szybko z każdym rokiem; dodać do tej cyfry należy dość znaczną liczbę kółek rolniczych, które Zarząd główny Tow. kół. rol. zaopatrzył w książeczki Wszystkie towarzystwa oświaty ludowej utrzymują się z wkładek członków, darów przygodnych i subwencyi instytucyi publicznych.

W kierunku wydawniczym uczyniono również bardzo wiele. Założona w 1882 r. „Macierz polska“ przyjęła za zasadę sprzedaż książeczek, bo tylko sprzedaż wytwarza czytelnika. W końcu 1893 r. miała w kraju 166 składów komisowych pod kierownictwem delegatów, którymi są z małym wyjątkiem nauczyciele wiejscy, pełni poświęcenia, gorliwości i zapału pracownicy. — Z funduszu żelaznego ma właściwie 1000 złr. rocznie i ze sprzedaży około 3000, subwencya sejmowa 5000 złr. Tych dochodów używa Macierz polska na wydawanie książeczek, dwóch czasopism i kalendarza. Od początku istnienia wyszło jej nakładem 61 książeczek w liczbie 455,200 egzemplarzy.

Krakowskie Tow. Oświaty ludowej wydało jedną książeczkę w 5000 egz.

Spółka wydawnicza w Krakowie wydała dotąd kilka książeczek. Cyfry sprzedaży nie znamy. Nie możemy też oznaczyć liczby wydanych i sprzedanych egzemplarzy lub rozdanych książeczek przez Wyd. kraj., Gal. Tow. rolnicze, prywatne osoby, jak też przez Tow. przyj. oświaty i licznych wydawnictw Drukarni ludowej, Pisza, Pelara, Kubaczki i Langa, Foltyna i t. d.

Cztery zaś powyżej wymienione instytucye i towarzystwa od 1883 r. do 1893 r. włącznie sprzedały swych nakładów **850,000** egzemplarzy.

Gdybyśmy wzięli w rachubę to, co firmy wydawnicze sprzedały, to przesadzając w skromności obliczenie, śmiało twierdzić możemy, iż w okresie 1883—

1898 sprzedało się o bardzo wiele więcej nad milion książeczek.

Czytelnictwo wzmaga szybko: przyrost szkół i pokoleń wychodzących z tych szkół, urządzenia autonomiczne, Rady gminne i powiatowe, kółka rolnicze i szkoły fachowe przyczyniają się w znacznej mierze do rozwoju czytelnictwa.

Ogółem ruch jest wielki i postęp ogromny pod każdym względem.

Wszakże łudzić się nie trzeba. Jakkolwiek ten postęp od 10 lat jest olbrzymi, pozostaje wiele do zrobienia. 2500 gmin blizko szkół jeszcze nie mają; ociężałość właściwa każdemu człowiekowi, niechęć do nowatorstw, warstwie ludowej właściwa, a będąca często przymiotem niż wadą, tysiące okoliczności, których wyliczać tu niepodobna, przytoczymy tu tylko ogólne ubóstwo tyloletnie zaniedbanie, wszystko to się składa, aby obraz ogólny zrobić niezbyt pocieszającym. Wszystkie warstwy winny wytężyć siły, aby ogromowi zadania sprostać.

Człowiek bardzo inteligentny nawet, pod wpływem nauczania przyspieszonego, forsownego, rozwinie się, to prawda, w 10 lat zrobi ogromne postępy — ale równowagę niejednokrotnie utraci, często na wielkie zboczenie jest narażony. Długich lat potrzeba, aby oświata na masy korzystnie działać mogła.

Ulewa, na spieczoną ziemię spadła, spłynie, nadmiernie zmoczywszy powierzchnię; tylko cichy i długi deszcz bez wichru orzeźwi warstwy głębsze, w których roślina życie czerpie.

Prawdziwego obywatela, którym jest człowiek, co każdej chwili gotów do ofiar dla dobra ogólnego, nie wytwarza się w kilku latach. Warstwy przez 1000 lat zaniedbane, znające tylko dotkliwe potrzeby materyalne, walczące z oporną naturą i w ciasnym zakresie spraw żyjące, muszą być realne w pojęciach, nie przez egoizm, lecz z porządku rzeczy.

Trudno wymagać, aby odrazu wzniosły się na wyżyny duchowe, na których stoją szeregi, które pokoleniami się kształciły, cierpiały i żyły w atmosferze idealnych wyobrażeń. Nie żądajmy przeto zawiele i pracujmy niestrudzenie, wnośmy wszędzie te uszlachetniające pierwiaski, które z istoty ludzkiej wyrabiają obywatela w szczytnem znaczeniu tego wyrazu.

Trafne słowa powyższe ocenić musi każdy, kto zważy, że Galicya blizko sto lat (od 1772 r. do 1866 r.) była pod takim samym batem niemieckim, jak pruski. Za mówienie po polsku w szkołach karano, pacierza uczono po niemiecku, gazety prześladowano.

A przecież gdzieś się podzieli ci Niemcy u nas? Ślady tylko pozostawili smutne w postaci wyzyskanego kraju i nieuprawnej roli — oświaty ludu. —

La...

Specyalne korespondencye „Pracy.“

Osady polskie w okolicy Berlina.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.)

Bliższa i dalsza okolica Berlina, jako wielkiego ogniska emigracyi polskiej w Niemczech, obfituje w małe osady polskie, dla których niejako centralnym punktem jest Berlin.

W *Charlottenburgu* — który dziś jest właściwie tylko dalszym ciągiem Berlina, a nie odrębnem miastem — zaczęli się osiedlać Polacy prawie w tym samym czasie, co i w Berlinie. Dziś istnieje tu kilka towarzystw polskich i mieszka kilkanaście tysięcy Polaków. Kolonii charlottenburskiej niepodobna jednak traktować oderwanie od Berlina, z którym stanowi nieodłączną całość. Dziś w centrum Berlina z powodu wzmagającego się ruchu handlowego, mieszkania są coraz droższe i nikt bez istotnej potrzeby nie mieszka w samym środku miasta, lecz raczej w peryferyi, promień, której zakreśla tor obwodowej kolei miejskiej tworzącej wyborną komunikacyą pomiędzy poszczególnemi dzielnicami miasta, jak niemniej i pomiędzy przedmieściami. O ile więc ludność polska nie mieszka we wschodnim pasie Berlina, w okolicy śląskiego dworca, w pobliżu fabryk i warsztatów mechanicznych,—mieszka w dzielnicy Moabit, która niegdyś osobne stanowiła przedmieście, albo w Charlottenburgu, gdzie mieszkania są tanie a koleją w kwadrans przejechać można na drugi koniec Berlina.

W Charlottenburgu też mieszka — ze względu na komfort domów, dużo zieloności i powietrza — grono inteligencyi berlińskiej polskiej.

Ponieważ jednak i w samym Charlottenburgu są znaczne fabryki i przedsiębiorstwa przemysłowe, zatrudniające pokaźną liczbę robotników i majstrów, jest więc kilka tysięcy Polaków, nietylko mieszkających w Charlottenburgu, ale też tam pracujących. Z tego powodu istnieje kilka towarzystw zupełnie samoistnych wobec towarzystw berlińskich. Charlottenburskie „Towarzystwo Polek“ zostało założone w 1876 roku. Oddawna też istnieje, zrazu jako filia berlińskiego towarzystwa tego nazwiska — „Sokół“ w Charlottenburgu. Liczy ono dziś 200 członków.

Towarzystwo polsko-kat. robotników „Braterstwo“ liczy też pokaźną liczbę członków.

Z członków rozmaitych towarzystw składa się „Koło śpiewaków polskich“ szerzeniem zaś książek polskich zajmuje się „bezpłatna biblioteka polska.“

W równie bliskiem sąsiedztwie, jak Charlottenburg, leżą przedmieścia: Schöneberg (dziś osobne miasto), Rixdorf, Weissensee, opasane wspólnym pierścieniem kolei obwodowej miejskiej. I one posiadają mniejsze lub większe kolonie polskie z towarzystwami, których jednak ze względu na ciągłą wymianę członków z Berlinem, niepodobna rozpatrywać jako odrębne osady polskie. Tak np. w Schönebergu cały prawie wydział tamtejszego towarzystwa mieszka w sąsiedniej, przylegającej do Schöneberga południowej dzielnicy Berlina, natomiast z członków towarzystwa w Rixdorfie, połowa mieszka w Berlinie.

W *Schönebergu* istnieje towarzystwo „Katolickich robotników polskich“ od roku 1892 go i liczy dziś —? członków.

W *Rixdorfie* piszący słowa niniejsze miał przyjemność być niejako ojcem chrzestnym towarzystwa „Katol. robotn. Polskich pod opieką Św. Stanisława“ w roku 1897. Liczy ono około 70 członków i odbywa zebrania co dwa tygodnie.

W Rixdorfie jest też „klub“ socyalno-demokratyczny „Jarosław Dąbrowski.“

W trzeciej z wymienionych osad w najbliższem sąsiedztwie Berlina — w Weissensee – stosunki przedstawiają się już nieco odmienniej, a to ze względu na dalszą odległość. Wymiana ludzi nie jest tak znaczna, stosunki bardziej utrudnione. Od roku 1891 istnieje tu Towarzystwo św. Stanisława, liczące obecnie 40 członków. Liczba Polaków w Weissensee dosięga przynajmniej 2-ch tysięcy. Są to przeważnie ludzie, których stosunki zarobkowe i rodzinne już się ustaliły i którzy nie myślą o powrocie.

W dalszym promieniu od Berlina, jednakowoż w stałych z Berlinem stosunkach pozostają kolonie polskie w Poczdamie, w Brandenburgu nad Hawelą, w Szpandawie i w Kalkberge-Rüdersdorf.

W *Poczdamie* niewielu mieszka Polaków, tak iż nawet towarzystwa niema. Ogółem liczyć można 500 osób. Na petycyi, którą w zeszłym roku podawano do władzy duchownej w sprawie polskich kazań, podpisało się 400 osób. Stosunki z miejscowym księdzem są złe: ksiądz nazywa Polaków socyalistami za to, że proszą o polskie kazania.

W *Szpandawie* mieszka do dwóch tysięcy głów ludności polskiej. Wojskowe fabryki broni dają dobre i pewne zajęcie tysiącom zdolnych robotników. Większość Polaków przebywa w Szpandawie już od lat szeregu. Od roku 1890 istnieje „Towarzystwo polskie przemysłowe,“ które wzmaga się w członków. W roku 1898 było 56 członków, dziś jest około 90-ciu. Towarzystwo abonuje dużo polskich ga-

zet i ma piękną biblioteczkę. Jest kilku kupców i emerytowanych urzędników. Towarzystwo polskie bezwątpienia liczyłoby znacznie więcej członków, gdyby nie konkurencya niemiecko-katolickich stowarzyszeń, stojących pod bezpośrednią opieką księży, którzy doradzają Polakom nowoprzybyłym wstępowanie do tych zakładów powolnej germanizacyi.

W *Kalkberge-Rüdersdorf* przebywa bardzo dużo Polaków. Około tysiąc robotników polskich pracuje w kopalniach, przy piecach wapiennych i w fabrykach cementu. Ogółem dochodzi ludność polska do 2 tysięcy głów. Z księdzem germanizatorem wre ciągła walka, ponieważ ksiądz, z pochodzenia nawet Polak, otwarcie i publicznie doradza wyparcia się narodowości i języka polskiego.

Istnieje towarzystwo katolickich robotników polskich.*)

Z dalej położonych kolonii zasługują na wzmiankę: *Velten* z „Towarzystwem polsko-katolickiem pod opieką św. Józefa“ założonem w r. 1894 i *Schenkendorf*, z „Towarzystwem budowy kościoła.“ Velten liczy około 600 głów ludności polskiej, Schenkendorf cokolwiek mniej.

Nadmienić wypada, że w całej prowincyi Brandenburskiej dziś w lecie napotkać można gromady obieżysasów, zatrudnionych przy robotach w polu.**)

Z dalej położonych osad polskich wymienić należy: *Szczecin*, *Frankfurt* nad Odrą i *Tangermünde.*

W Szczecinie jest z tysiąc robotników i rzemieślników Polaków z rodzinami. Pracują oni przeważnie przy porcie i budowie okrętów. Warsztat budowy okrętów „Vulkan“ zatrudnia ich znaczną liczbę. Jest też pewien procent kupców i pomocników handlowych Polaków.

W roku 1893 założono tu towarzystwo polskie *„Jedność“*. Rozwijało się ono pomyślnie, lecz policya stawiać poczęła rozmaite przeszkody a z tego powodu liczba członków spadła i dziś nie dochodzi dwudziestu.

I tu przeważnie z miast pochodzą wychodźcy polscy.

W *Tangermünde* mieszka około 400 Polaków z rodzinami. Jest towarzystwo św. Aloizego, założone w r. 1893. Liczy podobno 35 członków, lecz ma nieudolny zarząd, który nie stara się o odczyty i pism nie prenumeruje.

We *Frankfurcie* nad Odrą mieszka do 1500 głów ludności polskiej, przeważnie robotniczej. Kilkakrotnie robiono próby założenia towarzystwa polskiego, lecz zazwyczaj destrukcyjnem czynnikiem okazywali się socyalistycznie usposobieni Polacy, którzy wypowiadali gorącą walkę każdemu towarzystwu, które nie stało na gruncie zasad socyalistycznych. Obecnie istnieje tam tylko „Towarzystwo socyalistów polskich.“

Ordon.

* * *

Berlin, dnia 10 lutego 1901.

(*Wiec w sprawie wychowania dzieci po polsku. Walka o naukę religii polskiej.*)

Dzisiejszy wiec polski w sprawie wychowania dzieci odbył się na sali katolickiego domu „Leo-Hospiz“ we wschodniej dzielnicy miasta, przy udziale około 1000 osób. Publiczność składała się prawie wyłącznie z rodzin robotniczych i drobnych rzemieślników. Z posłów obecnych był p. Głębocki. Przewodniczył wiecowi wydawca „Dziennika Berlińskiego“ p. Wróbel.

Wiece w sprawie wychowania odbywają się, jak wiadomo, od szeregu lat. Podczas gdy dawniejszemi laty główną treścią mów było nawoływanie rodziców, aby uczyli dzieci polskiego czytania i pisania, aby rozmawiali z dziećmi zawsze i jedynie tylko po polsku, by dawali im do czytania polskie książki i pisma, itd., w tym roku obok powtórzenia tych wszystkich żądań słychać było przedewszystkiem przypomnienie innego jeszcze obowiązku, przypomnienie bardzo dobitne ze wszystkich mów wiecowych:

Żądajcie od księży, aby przygotowywali dzieci wasze po polsku do sakramentów św., aby uczyli je po polsku religii!

Od samego początku zebrania znać było z przemówień, w których powtarzała się jednomyślnie zwrotka o potrzebie oparcia się nieuczeniu w kościele i przez kościół, i ze sposobu, w jaki zebranie słuchało uwag mówców, że nikomu nie nie tajno, iż doszło do chwili przełomowej. Trzeba będzie nam walczyć, walczyć ciężko o prawa nasze językowe i dzieci naszych w kościele — wszyscy to czują. Ale znać też było zarazem chęć podjęcia i przeprowadzenia tej walki, ufność w swe siły i pewność siebie, wynikającą z poczucia jasnej jak kryształ sprawiedliwości naszej sprawy, naszych wymagań. Wszyscy mówcy napominali zebranych, aby wytrwali sami w zamiarach, a drugich, obojętnych, prowadzili na drogę obowiązku. Jedynie ciągłem, bezustannem, stanowczem domaganiem się praw naszego języka w kościele dojść możemy do upragnionego skutku. Raczej lekceważyć nas będą, dufając w to, że nagadawszy się na wiecach, w praktyce pozwolimy ze sobą postępować jak dotąd. Znają Niemcy nasz t. zwany słomiany zapał, i liczą na to, że milczeniem na nasze żądanie najłatwiej dadzą sobie radę. Pokażemy, że tak nie będzie, że tym razem przebrała się miarka cierpliwości naszej. Żądajmy w sposób godny, ale stanowczy praw naszych. Nieustępujmy pod żadnym pozorem!

Oto w streszczeniu myśli przewodnie przemówień na wiecu dzisiejszem.

A dalej zwróćmy uwagę na wybitniejsze szczegóły. Jeden z pierwszych mówców, p. Kowalski, pomówiwszy o stosunku do władzy kościelnej itd., daje praktyczną radę, aby rodzice celem budzenia świadomości polskiej w dzieciach nietylko o potocznych sprawach mówili z nimi po polsku, nietylko starali się, by umiały czytać i pisać w ojczystym języku, lecz także objaśniali dzieci o wszystkich ważniejszych sprawach. Jako przykład podał mówca obchód Sienkiewiczowski w Berlinie. Niechaj rodzice objaśniają dzieciom, co to za człowiek, ów pisarz, którego czci naród cały, a szanują i wielbią obcy, co i jak uczynił dla społeczeństwa itd.

Inny mówca, p. Engel, przypomina matkom polskim pełne chluby dla nich słowa księcia Bismarka, i wzywa je, by okazały się istotnie takiemi patryotkami. Niech pomną na obowiązek swój matki-obywatelki. Oby nie zachodziły więcej wypadki takie, jak po jednym z dawniejszych wieców, że matka wyszedłszy ze sali z dzieckiem, a pieszcząc się z niem już popadła w błąd odzywania się po niemiecku! Nie takich to matek-Polek nam potrzeba. O takie społeczeństwo nie stoi. Są dzięki Bogu i inne! Oto n. p. matka pewna interpelowana przez rektora szkoły, dlaczego zakazuje dziecku swemu chodzić na naukę religii niemieckiej, odrzekła, że jako matka ma prawo rozstrzygać o tem. Gdy na to odpowiedziano jej, że nie chcą właściwie z nią mieć sprawy, że powinien był przyjść mąż, odparła śmiało: Bądź Pan rad, że mój mąż nie przyszedł! — Nie wszyscy Niemcy, wywodzi mówca, lekceważą Polaków i godzą się na gnębienie ich języka. Dbając o godność swoję, wyznając zawsze i śmiało, żeśmy Polakami, nie narazimy się na uwłaszczanie, lecz zyskamy na poważanie uczciwie myślących Niemców. Jemu samemu, powiada mówca, choć od lat 20 i kilku przebywa w Berlinie, nigdy nie rzucono w oczy pogardliwem słowem „Pollacke!“ Szowinizm niemiecki, gdziekolwiek się pojawia, choćby w kołach najwyższych, zwalczać mamy prawo i obowiązek. Czyńmy to z godnością i stałością. Nie wstydźmy się języka swego. Przykładem niech nam będą choćby biedni chłopcy słowaccy, wędrujący po ulicach Berlina, a niewstydzący się rozmawiać w języku ojczystym, i stawiający się ostro każdemu, kto ich o to zaczepi. Że Niemcy rozsądni poczytują im to za dobre, znać z tego, że nieraz biorą w obronę tych

---

*) Owe Towarzystwo dotychczas jednak nie nadesłało swego formularza. Pewnie gazet nie czytuje wcale. Warto, aby nasi Polacy z Berlina zajęli się trochę tem Towarzystwem. *Red.*

**) Towarzystwo w Velten swego formularza jeszcze nie odesłało. Dla czego? *Red.*

biedaków wobec swych współrodaków niemieckich!

Inny mówca, p. Ziółk. powiada między innemi bardzo trafnie, że na zniewalaniu dzieci do nauki religii w języku niemieckim stracić może i musi sam kościół. Srodki bowiem, jakich przytem używają rektorowie szkół itd.. muszą budzić zamęt w głowach młodocianych. Tak n. p. pewien rektor pytał dzieciaka, kto lepszy, czy polski Bóg, czy niemiecki?! Jakież to myśli i wątpliwości dziwne powtarzać mogą w umyśle dziecka na podobne pytania?!

Bardzo dodatnio wyróżniły się przemówienia przez p. Pietrzaka i p. Wł. Berkana. P. mówi gładko i płynnie, przygotowawszy się widać dobrze; unika obciążania swej mowy zbytkiem frazesów, a przecież powiada dużo, mówi spokojnie, a przecież do serca przemawia. Napomina i on rodziców, aby pozbyli się obojętności wobec niemczyzny zakradającej się do zwyczajów i rozmowy dziatwy; powinny zniknąć ze społeczeństwa naszej rodziny, gdzie człek znajduje się jak na żydowskim jarmarku: matka mówi po polsku do ojca, córka pół na pół po polsku i niemiecku opowiada coś matce, a syn wyrostek odpowiada ojcu po niemiecku! Radzi mówca przekonywać dzieci przy każdej sposobności, że naród nasz nie byle jaki, radzi prowadzać je na przedstawienia polskie i do towarzystw, by odczuwały, że są, jak rodzice, Polakami, że tego wstydzić się nie potrzebują, boć inni, poważniejsi od nich, dumni są z miana Polaków. Dla obojętnych rodaków radzi mówca być uprzejmymi, służyć im dobrą radą, wieść ich na zebrania polskie itd.

Pan Berkan w przemówieniu swem określa wyraźnie, co powyżej już zaznaczyłem i że nie pozostaje nam nic, prócz walki wytrwałej, skoro pragniemy uzyskać uwzględnienie żądań naszych. Na wyrażone przez wiec ogólny w sprawie języka polskiego, wymagania nie otrzymaliśmy dotąd żadnej odpowiedzi urzędowej. Ale wiadomem jest, że pragną rzecz naszą ubić milczeniem, że sądzą, iż po nachałasowaniu się umilkniemy i znosić będziemy nadal wszystko co było dotychczas. Liczą na brak wytrwałości u Polakow.

Na władze duchowne wywierają *nacisk z góry*, w niektórych wypadkach nawet z bardzo wysoka, by dla Polaków *nic* nie czyniono. I tak n. p., jak się mówca poufnie dowiedział, bywało, iż rektor duchownemu uczącemu po za godzinami obowiązkowemi dzieci polskie religii w ojczystym języku, groził, że postara się o odebranie mu prawa nauki religii w odnośnej szkole. Sprawą nabożeństw polskich w Koenigs-Unterhausen pod Berlinem zainteresowano się nawet wyżej, bardzo wysoko, podsuwając myśl, by zniesiono wogóle te nabożeństwa polskie dla tamtejszych robotników!

Cóż nam wobec tego wszystkiego czynić wypada?

Należy okazać, że mamy wytrwałość, należy domagać się swego bezwarunkowo. Jeżeli rządowym sferom zdaje się, iż władza kościelna powinna słuchać ich, a nie głosu sumienia i parafian polskich, toć władza duchowna rozmyślić się powinna, że kościół i nabożeństwo polskie przecież dla Polaków, a nie dla ministrów — chyba, że pragną ministrów widzieć w kościele, a nie parafian Polaków! Rodzice rozstrzygają w pierwszym rzędzie o tem, w jakim języku dzieci ich mają się uczyć religii — niechajże tedy rozstrzygają zawsze na rzecz polskiej nauki, nie dając się ustraszyć niczem, nie dając się odwieść niczem! Wówczas poznają, że wytrwałość naszą umiemy okazać czynnie, i muszą uwzględnić nasze życzenia.

Huczne oklaski były nagrodą dla mówcy.

Miejmy nadzieję, że wiec ten istotnie przyczyni się choć w części do rozszerzenia świadomości, że mamy prawo domagać się polskiej nauki religii dla dziatwy polskiej w Berlinie, miejmy nadzieję, że pobudzi coraz to szersze warstwy do stanowczego domagania się tych praw, z drugiej strony zaś do gorliwej pracy nad wychowaniem w obrębie ogniska domowego. *J. K.*

Z blizka i z daleka.

Z całej Polski.

Z Pelplina, w Prusach Zachodnich, donoszą nam, że dwie nauczycielki „Polki“ pp. *Łaszewska* i *Waldowska* urządzają przedstawienie amatorskie ***niemieckie*** i wciągają na nie dzieci polskie. Gdyby to zrobiły nauczycielki rządowe przy szkole rządowej, możnaby je jeszcze uniewinnić, ale te panie utrzymują prywatną szkołę. Podobno z tego powodu towarzystwo HKT zamierza tym osobom ofiarować dyplom uznania.

Już kika tygodni przed definitywnem ogłoszeniem przedstawienia, jeden z obywateli swoje zdanie o tem wyraził — niestety bez skutku.

Korespondent nasz, dając wyraz swemu oburzeniu, wzywa rodziców polskich, aby zabronili energicznie swym dzieciom brania udziału w niemieckich produkcyach pań przełożonych.

* * *

Nasze towarzystwa — a policya. W Wielkim Dobrzyniu (w pow. Opolskim) na Górnym Śląsku miało się odbyć w najbliższą niedzielę zebranie w celu założenia towarzystwa polsko-katolickiego. Amtowy czyli wójt odmówił jednak poświadczenia, pomijając tem samem § 1 prawa związkowego z dnia 11 marca 1850. (*Die Bescheinigung muss sofort, stempelfrei und selbst an Sonntagen unverweigerlich erteilt werden... Ein Beamter, der die Bescheinigung widerrechtlich verzögert, macht sich des Missbrauchs der Amtsgewalt schuldig und ist nach § 339 des R. Str. Gb. strafbar..*). Amtowy podał za przyczynę odmowy, iż Dobrzyń jest niemiecki. Wielka to nowość, bo W. Dobrzyń ma około 2400 mieszkańców; wszyscy są Polacy, prócz może dziesięciu Niemców (6 nauczycieli, wójta, urzędnika przy cle i poczmistrza) — Wskutek odmowy wójta przybył jeden z mieszkańców Dobrzynia do Opola i udał się z zażaleniem do landrata. Tenże odpowiedział, (robiąc do siebie uwagę: „*Wieder ein polnischer Verein*“), że jemu nic do tego, bo amtowy może poświadczyć, jeśli chce (*er kann bescheinigen, wenn er will*) Ponieważ więc to ustne zażalenie nie poskutkowało, przeto udadzą się obywatele z Dobrzynia piśmiennie do landrata, który, jak wątpić nie można, sprawę natychmiast załatwi, bo trudno nawet przypuszczać, aby w tak prostej i jasnej sprawie, wobec tak wyraźnego lekceważenia prawa było potrzeba udawać się na drogę dalszych instancyi.

Zwracamy jednak uwagę na to zajście naszym posłom.

* * *

W Chropaczewie (na Górnym Śląsku) odbyło się niedawno zebranie hakatystów. Liczyło około 200 osób, wobec których sekretarz *Ostmarki*, niejakiś p. Vosberg z Wrocławia, wygłosił mowę p.t. „Sprawa polskości i jej historyczny przebieg na Górnym Śląsku.“ Naturalnie, że ten pan dowodził, iż tutajsi Polacy są tylko sprowadzeni z Polski na osiedlenie, ale, że ziemia ta jest „urgermanisch“, czego dowodem, iż cesarz niemiecki Barbarossa utwierdzał książąt. Wywodził dalej, jakiej się czarnej niewdzięczności dopuszczają Polacy, że „będąc cierpiani na tej niemieckiej ziemi“, nie chcą przyjąć niemczyzny, lecz przemyśliwają wciąż razem z braćmi z Poznańskiego, jakby to państwo pruskie w łyżce wody utopić. Wyliczył potem wszystkie nasze spółki, towarzystwa, banki, naturalnie i pisma, a gdy „*Pracę*“ wspomniał, to mu aż głos zadrżał i mówca zaperzył się cały. A mowę swą zakończył słowami, aby wszyscy wierni królowi i państwu obywatele, czy Niemcy czy Polacy, łączyli się w zwalczaniu — agitacyi wielkopolskiej.

* * *

Z Galicyi donoszą, że ostatni spis ludności w Galicyi nie da prawdopodobnie pożądanych informacyi. Przedewszystkiem listy spisowe były tak niedorzecznie ułożone, w takiej polszczyźnie wydane, że nawet ludzie inteligentni byli w kłopocie, niektórych bowiem pytań zrozumieć nie mogli.

Z kilku miejscowości donoszą, że nauczyciele Rusini, którym czynność spisywania powierzono, wszystkim odpowiadającym, że umieją po rusku, zaznaczali w odpowiedniej rubryce języka używanego w domu „ruski“. W ten sposób w Kutach wielu Ormian, mówiących w domu

po polsku, ale umiejących po rusku, zaliczano do narodowości ruskiej. Podobny los spotkał wielu włościan Polaków w Galicyi wschodniej.

* * *

W bieżącym roku urządzono w **Krakowie** pierwszy bal prasy.

Dzięki prezesowi Chylińskiemu i protektorce hr. Adamowej Skrzyńskiej, bal prasy wypadł świetnie. Miłych dla oka wrażeń dostarczyła piękna i gustowna dekoracya sali. Efektownie na jej tle odbijały kosztowne i wykwintne toalety pań. Udział Krakowa na balu był nader liczny.

* * *

Z Warszawy donoszą nam, że sprawa obsadzenia generał-gubernatora długo się jeszcze przeciągnie. Gubernator kijowski, Dragomirow, odmówił definitywnie przyjęcia tej posady.

Komitet warszawski Towarzystwa artystycznego uchwalił urządzić w salach Towarzystwa sztuk pięknych pierwszą tegoroczną wystawę obrazów olejnych, drzeworytów itp.

Prace przygotowawcze już się rozpoczęły i wkrótce będą rozesłane zaproszenia do wzięcia udziału w tej wystawie, do wybitniejszych malarzy.

Odbyło się pierwsze posiedzenie komisyi dla budowy sanatoryum dla niezamożnych suchotników. Zebrani postanowili zaprosić na prezesa komisyi ks. biskupa Ruszkiewicza, a na wiceprezesa prof. Baranowskiego. Następnie wybrano zarząd, któremu polecono opracowanie planów i kierowanie całą budową sanatoryum.

Przypominają sobie wszyscy groźną katastrofę kolejową pod Warszawą, której ofiarą padło między innymi kilku znanych i cenionych literatów warszawskich. Niedawno, jak się dowiadujemy, lekarze delegowani przez kolej wiedeńską badali szczegółowo stan zdrowia p. Władysława Rejmonta, który może najbardziej ucierpiał w owym wypadku.

Ekspertyza wykazała, że z pośród pasażerów poszwankowanych w wymienionej katastrofie, a pozostałych przy życiu, najwięcej ucierpiał warszawski powieściopisarz, którego stan zdrowia do dziś dnia jest bardzo niezadawalniający. Kolej niezawodnie wypłaci niebawem p. Rejmontowi wysokie odszkodowanie.

W Warszawie przebywa obecnie kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu „opornych" unitów z Chełmszczyzny i Podlasia, zesłanych do tego miasta pod dozór policyi. Biedacy ci znajdują się w strasznej nędzy, litościwi bowiem, ale bardziej jeszcze tchórzliwi filistrzy warszawscy obawiają się brać ich do służby lub dawać im zajęcie w fabrykach, składach itd. Zesłani są to przeważnie chłopi, którzy musieli opuścić własne gospodarstwa zostawiając je nieraz bez żadnej opieki, na łasce sąsiadów.

* * *

Z za Oceanu.

Polacy w Paranie. We Lwowie wygłosił p. Okołowicz odczyt publiczny o Polakach w stanie Parana (Brazylia).

Dowiedzieliśmy się od p. Okołowicza, że koloniści polscy w Paranie najliczniej zamieszkują okolicę miasta Kurytyby. Głównem zajęciem Polaków w Paranie jest rolnictwo. Polaków trudniących się przemysłem i handlem, jest niewielu, jak wogóle Polaków o wyższem wykształceniu i dla inteligencyi polskiej stoi otworem w Paranie szerokie pole do działania. Polacy w Paranie nie wynaradawiają się, ale myślą i czują po polsku. Sami starają się o oświatę pomiędzy sobą i każda książka polska jest dla nich pożądanym nabytkiem. Ustrój państwowy w Paranie nie unormowany i władze i urzędy państwowe nie tylko, że nie spełniają należycie swych obowiązków, ale same są zaporą dla normowania się stosunków krajowych. Szczególnie dotkliwie daje się odczuwać brak szkół i dobrze zorganizowanej władzy bezpieczeństwa. Mimo tych nie bardzo pomyślnych warunków, bytu politycznego i kulturalnego, wskazanemby było, aby w kraju zajęto się energicznie nieustanną emigracyą włościan polskich i aby prąd ten skierować ku Paranie. Czem liczniejsze staną się kolonie polskie w Paranie, tem lepsze mieć będą widoki rozwoju na przyszłość, a przedewszystkiem wzmocni się element polski i nie ulegnie napływowi elementów obcych. *Z.*

Z TYGODNIA.

(*Z pism niemieckich*).

Zajęci sprawami naszej wewnętrznej polityki, nie możemy zbyt często zaznajamiać czytelników naszych z głosami pism niemieckich. Nie uważamy przytem za potrzebne systematycznie podawać głosy hakatystów, ponieważ to do pozytywnej pracy nie zachęca. Ale obecnie głosy prasy niemieckiej tak wybornie oświetlają wewnętrzne położenie Niemiec, że nabierają już z tego powodu znacznego interesu dla nas, „*Zawróć cesarzu z fałszywej drogi*" — pod takim tytułem piszą „Leipziger Neueste Nachrichten" o wyraźnej tendencyi cesarza Wilhelma II ku utwierdzeniu przyjaźni z Anglią; „Podczas gdy w pismach angielskich wszelkiego kalibru znajdujemy hymny pochwalne na cześć Wilhelma II i porównywania go z rozmaitymi bohaterami, w całej prasie niemieckiej słychać jeden głośny okrzyk, tak poważny i donośny, jakiegośmy nigdy nie słyszeli! Co stanie się z przyszłością Niemiec, gdy tak pójdzie dalej na drodze przymierza z Anglikami? Szerzy się wstręt do kreacyi Bismarka i Wilhelma I — do zjednoczonych Niemiec. Chodzi tu o rzecz najświętszą i najważniejszą o jaką kiedykolwiek może chodzić w polityce: o zaufanie narodu niemieckiego do kierowników jego polityki! zaufanie to znika.

Przed 30 laty kapitulował Paryż a Bawarya cała iluminowała radośnie z tego powodu i z powodu utworzenia cesarstwa niemieckiego. Nie iluminowalibyśmy, gdybyśmy moglibyli przewidzieć, że te wszystkie ofiary, któreśmy ponosili służyć będą do oddania Niemiec w służalstwo Anglikowi, wyrafinowanemu mordercy nieszczęśliwych Burów. Przed zagranicą mogliby przecież byli i bez utworzenia cesarstwa niemieckiego i włożenia królowi pruskiemu cesarskiej korony na skronie — pełzać w upodleniu przed cudzoziemcami a „Vorwärts" mówiąc z szyderstwem o nadaniu marszałkowi angielskiemu, tępicielowi Burów, najwyższego pruskiego orderu, zapytuje ironicznie, czy też i ów Buller, który tak zwycięsko umykał z placu boju przed Burami, dostanie najwyższy order pruski".

A inna gazeta niemiecka, „*Leipziger Volkszeitung*" pisze o sposobie prowadzenia wojny w Chinach, że to wojna nie w celu szerzenia cywilizacyi, lecz zwyczajna wyprawa korsarska po zdobycz i podaje następujące listy: „4-go Października zajęliśmy Pekin. Wszedłszy do miasta zdjęliśmy tornistry i poszliśmy szukać zdobyczy. Ale do rabunku nic nie było, bo Chińczycy wszystko już pochowali i pozakopywali w ziemię

Dwunastego tegoż miesiąca opuściliśmy Pekin z zamiarem zdobycia jakiego bogatego miasta, któreby nam dało możność zaopatrzenia się w bogactwa. Przyszliśmy jednak zapóźno, co już Francuzi przed nami zajęli i obrabowali jedno bogate miasto. — Jedzenia mamy dosyć i pieniędzy też. Nigdy przy sobie mniej nie noszę, jak 50 dolarów, lub 100 mk. Podoba mi się tu w Chinach bardzo, bo gdy pieniądze wyjdą, idzie się do pierwszej lepszej chińskiej budy, bierze się za warkocz Chińczyka i napełnia się worki pieniędzmi. A gdy dobrowolnie nie daje, to nietylko warkocz, ale i głowę traci. Niech się łotry uczą kultury!"

Ten ostatni wykrzyknik nader jest charakterystyczny dla kultury — niemieckiej. Znamy ją dobrze i tak samo, jak Chińczycy, ją oceniamy i sądzimy, że takie kulturne państwo nie mogło zrobić nic lepszego, jak tylko ofiarować najwyższy swój order katowi Burów — Robertsowi. Mówi niemieckie przysłowie: Schoene secten finden sich, a my dodajemy: Niemcy w Chinach i Anglicy w Afryce — to dwaj bracia, w korcu maku się szukali, aż się znaleźli.

Ogłoszono też z Chin inny jeszcze list, niemniej charakterystyczny, który świadczy o ostatniem zdziczeniu żołnierzy niemieckich w Chinach:

Żołnierz ów chełpi się, że się tam z Chińczykami żadnych ceremonii nie robi, że Niemcy biorą, co im w ręce wpadnie, a gdy potrzebują robotników, chwytają pierwszego lepszego Chińczyka i zaprzęgają go do roboty, jak bydlę.

HUMORYSTYKA.

O jednej jejmościance, co kapelusz z ptakami miała.

(Gawęda dziada Kacpra.)

Jedna gładka damula
Do męża się przytula:
— „Kup mi — rzeknie — kapeliusza,
Bo już mi się trzęsie dusza,
Kiedy stary nakładam!

Mój ty skarbie, me życie,
Odpłacęć się sowicie,
Czekaj ino do wieczora,
Kiedy ciemna będzie pora —
Damć nagrodę jaż miło!..."

Wziął się na ten lep owy, —
Już do kupna gotowy!
Idą tedy wnet we dwoje,
Gdzie przedają modne stroje
Dla wszelakiej niewiasty.

Białogłowa pogląda,
Sama nie wie, co żąda,
Aż jej nagle lice zbladło:
Łaps! za jakieś czupiradło!
Tem mieć muszę koniecznie!

Ze wzruszenia wciąż blada,
Już go na łeb nakłada,
A na owym kapelusie
Główki ptasie, pióra strusie,
Ba! kolibry wypchane!

Ma na kudłach podwika
Cały kramik ptasznika,
Mąż zapłacił i z niewiastą
Idą sobie hen za miasto,
Za plantacye na szpacjer.

Jaż tu w polu na dębie
Dwa czatują jastrzębie,
Jak kapeljusz zobaczyły,
Dalej ganiać z całej siły,
I już babę tarmoszą!

A bodajże cię frybra!
Ten porywa kolibra,
Owy drapie pazurami,
Krew się leje, gębę plami —
Awantura haniebna?

Co się dzieje — o, rety!
Już poczwara z kobiety!
Jedno ślepie wypłynęło,
A kapeljusz licho wzięło,
Ino strzępki ostały!

Teraz ona podwika,
Na swą dolę narzyka,
Drze se włosy, lamentuje,
A ja jej ta nie żałuje:
Niech nie leci na modę!

Poradził sobie.

Stefan jest najpoczciwszym w świecie chłopcem, co nie przeszkadza mu wcale być Gapskim, ale to Gapskim w całem tego słowa znaczeniu.

Pewnego jesiennego wieczora spotyka w teatrze pannę i zakochuje się w niej na zabój.

Panna mu sprzyja; Gapski chce z nią stanąć przed ołtarzem, zwierza się z tem swej matce.

— Nic z tego! — woła ta z gniewem — tyś chłopiec zamożny; bogaty, a ona co? Biedna jak mysz kościelna.

Gapski znając dobrze swoją matkę, nie oponuje, nadziei jednak nie traci. Pogrąża się cały w rozmyślaniach, jakby usunąć przeszkodę.

Po paru dniach przychodzi z rozpromienioną miną do domu.

— Mamo! — woła — teraz już nie możesz nic mieć przeciwko memu małżeństwu...

— Dlaczego?

— Ona ma posag...

— E?...

— Tak, dziesięć tysięcy marek.

— Zkąd?

— Hm, zkąd? Ja dałem jej sądowne zobowiązanie na tę sumę; jestem jej dłużnikiem...

— Oooch!

* * *

Skromne żądanie.

(Ze sceny małżeńskiego teatru).

— Przeżyłam z tobą lat trzydzieści, lecz dłużej żyć nie jestem w stanie: poczynasz zdradzać mię, mój panie, o czem już nawet krążą wieści; dziś się udaję do rozwodu, zwróć mi mój posag...

— To jest świętem, zwrócę ci nawet i z procentem, szanowna żono, bez zawodu, niech losy szczęściem cię ustroją...

— Lecz również zwróć mi młodość moją inaczej cóż mi po swobodzie, po kapitale i rozwodzie?

* * *

Koniec wieńczy dzieło.

Do restauracyi wchodzi obdarty i podpiły osobnik. Restaurator ma go zamiar wyprosić za drzwi, lecz przybyły podchodzi do bufetu krokiem tak pewnym, że gospodarz waha się: A nuż da co utargować? — myśli i w grzecznej pozie pyta:

— Czem mogę służyć?

— Pieczeń huzarska jest?

— Owszem!

— A zrazy nelsońskie?

— Owszem!

— A kuraki?

— Mogą być!

— Hm, a dobrze przyrządzone?

— Przepysznie!

— To niech pan raczy... podarować mi jednego; grosza przy duszy nie mam, nic od rana w ustach nie miałem a apetyt na coś porządnego czuję piekielny!

Rozmowa z głuchym.

— Jak się masz, panie Edwardzie.

— W lombardzie?... ach to pan był w lombardzie? Zapewne trapić muszą kłopoty, skoro w lombardzie szuka pan floty? Ha, nic dziwnego! Imć Marek pono lubi żyć w świecie, to wszak stwierdzono. Jako prowadzący na skromnej skale dom mój — w lombardach nie bywam wcale...

— Ależ, do dyabła, panie Edwardzie, co mi pan bredzisz tu o lombardzie! ja tam nie byłem w życiu swem wcale!

— Więc zastawiłeś żonie korale?

— Eh, nie wytrzymam, jakem jest Marek!

— Zegarek! takżeś zaniósł zegarek?...

— Panie Edwardzie, cóż to za żarty?

— Na karty zbrakło floty — na karty? ha, kto przegrywa grosze w wincika taki się zawsze z lombardem styka, do czegóż jednak rozum, mosanie, aby nas wstrzymać zawszn był w stanie...

— Tfy! do stu katów! głuchy sąsiedzie! a toż ja wcale nie jestem w biedzie i w lombardowej nie byłem sali!

— A szkoda... szkoda żony korali.

Eżet.

Herb „Częstopian."

Był rycerz raz Piotr Bela zwan,
Ten suszył wciąż po dzbanie dzban,
I nie znał co trzeźwy stan...
Więc nadał mu król Olbracht Jan
Herb i przydomek „Częstopian."
Gdy uczuł ztąd w honorze ból,
Tak go pocieszał dobry król:
„Kto inny miałby słuszny żal,
Tyś często pian, więc sam się chwal,
Bo rzadkiej to trzeźwości mąż,
Co pije często a nie wciąż!"

Jan Łam.

Chłodne przyjęcie.

Facet. — Są państwo w domu?

Lokaj. — Nie.

Facet. — To może przecie kto jest?

Lokaj. — Nie, proszę pana.

Facet. — W takim razie wejdę, aby się przynajmniej ogrzać.

Lokaj. — Kiedy proszę pana mieszkanie nie opalone.

Facet. — To powiedz durniu swemu panu, że nie spodziewałem się tak chłodnego przyjęcia!

Cichy wspólnik.

Lokator. — Mój panie rządco, od paru godzin w tej fabryce, która mieści się na dole, są takie hałasy, że wytrzymać nie można!...

Rządca. — A to widzi pan, ten fabrykant właśnie wczoraj zbankrutował, a teraz z tego powodu *krzyczy* tak okropnie jego „*cichy* wspólnik..."

Diagnoza.

Wieśniaczka. — Panie konsyljarzu, co też może brakować memu staremu. On nic nie je!

Doktor (po namyśle). — Z pewnością brakuje mu... apetyt!

Słomiany licytant.

— Co pan, panie Fiszklap, ma taką popodbijaną twarz?

— Bo ja teraz zajmuję się z podbijaniem cen na licytacyi.

Do góry nogami.

— Co to znaczy? widzę, od dni kilku straciłeś zupełnie humor?

— A bo ta szelma dziewiątka tak mnie zirytowała! musiała koniecznie stanąć do góry nogami, by zrobić mi krzywdę...

— ???

— Numer seryi posiadanej przezemnie premjówki 4859, a tymczasem wygrana padła na numer 4856!

* * *

Kobieca logika.

— Coby pani zrobiła, gdyby pani była mężczyzną?

— Natychmiast oświadczyłabym się o moją rękę.

Gdy zaś zrobi swoje, otrzymuje jako jedyną nagrodę kopnięcie nogą. Dalej opisuje autor listu wyprawy po żywność i konie, które wyraźnie nazywa „Raubsüge"! Koni na tych wyprawach zabrano tyle, że każdy niemal żołnierz kompanii posiadał własnego wierzchowca. Chińczycy uciekali przed Niemcami i chowali się w pola ryżowe lub kukurydzę, lecz i tam ich szukano. Skoro zaś Chińczyk który nie stanął na pierwsze zawołanie, strzelano do niego bez miłosierdzia. Kwatery chińskie bardzo się autorowi listu podobają. Jedwabiu i innych drogich materyi nabrać tam można, ile każdy udźwignąć zdoła! Ma się rozumieć, że żołnierze korzystają z tego i dobrze się obławiają.

I wojna, prowadzona w takich warunkach i w taki sposób, nazywa się wojną w imię cywilizacyi i kultury, w obronie chrześciaństwa!

Do sprawy polskiej zabierają często głos gazety niemieckie.

Półurzędowa „N. Allg. Ztg." umieściła w tych dniach z polecenia kanclerza hr. Bülowa następujące oświadczenie w sprawie polskiej:

„Jestto w najwyższym stopniu podpadającą rzeczą, że w nawiązaniu do rozpraw parlamentu nad przesyłkami pocztowemi z polskim adresem twierdzą rozmaite pisma, iż kanclerz Rzeszy hr. Bülow chce zainaugurować „nowy kurs wobec Polaków." Możemy skonstatować, że te twierdzenia *są zupełnie bezpodstawne.* Jako kanclerz Rzeszy i prezes ministerstwa jest hr. Bülow świadom potrzeby przyjścia w pomoc niemczyźnie w słusznej obronie przeciw wybujaniu politycznie wrogiego polonizmu, aby zwłaszcza wystąpić tam, gdzieby chciano nadużyć państwowych organizacyi ku popieraniu narodowo-polskich dążności. Dla tego też kanclerz Rzeszy postara się o to, aby w traktowaniu przesyłek pocztowych z polskiemi adresami zaprowadzono stałą i jednolitą praktykę. Nasi polscy współobywatele atoli niechaj we własnym interesie swoim pozwolą sobie powiedzieć, że niechęć kierującego męża stanu do używania małostkowych środków nie ochroni ich od poczucia **twardej dłoni,** jeżeliby w pruskiej dzielnicy chcieli być czem innem, niż lojalnymi pruskimi poddanymi!"

A więc polityka „*twardej dłoni*" wobec Polaków! Zgoda na to — Polacy sobie dadzą już radę z tą twardą dłonią" niedoszłego naśladowcy Bismarka.

Ciekawem jest wobec tego, że niedawno temu wystąpił rodowity Niemiec z Poznańskiego, p. Treskow z Radojewa, z deklaracyą wymierzoną przeciwko kursowi hakatystycznemu:

Z powodu tej deklaracyi pisze „*Kölnische Volkszeitung*" w korespondencyi z Poznania:

„Opinia publiczna jest do tego stopnia otumaniona i wszystko, co nie dmie we wielką trąbę polityki wytępiania, jest tak onieśmielone, że tylko z radością można powitać to, gdy mężowie bezwzględnie występują z swem istotnem zapatrywaniem. Jest już istotnie najwyższy czas do tego. Posiwiałem tu w dzielnicy i znam stósunki od przeszło 40 lat. Gdy wspominam szósty dziesiątek lat, a także czasy wojny francuzkiej, to muszę powiedzieć, że ówczesny włościanin polski, który przecież w dzielnicy reprezentuje większość, był uważany za jednego z najpewniejszych poddanych państwa pruskiego i królów pruskich. Gdy odsłużył wojskowość, mówił o tym czasie z dumą. Wojskową czapkę, którą przyniósł do domu ze służby w wojsku, nosił jeszcze przez całe lata i był dumny z tego, że ją może nosić. Jeżeli sobie ktoś pozwolił zaczepić go, natenczas miał na pogotowiu oświadczenie: byłem żołnierzem i służyłem królowi. Tem, czego się nauczył w koszarach z języka niemieckiego, popisywał się w domu i był dumny z tego, że rozumie po niemiecku. Władze, które miały do czynienia z polskim włościaninem, nie mogły nigdy skarżyć się przytem na żadne trudności. Wtenczas nadeszła nieszczęsna *walka kulturna* ze wszystkiemi pobocznemi objawami. Polski wieśniak jest gorliwym katolikiem i nie mógł wcale pojąć tego, że wrzucano do więzienia kapłanów, Biskupów i Arcybiskupów. Polak może więcej, niż inny katolik na świecie, jest przywiązany do swoich kapłanów. Przepisy, wykonywane przeciwko kapłanom, które były niezrozumiałe także dla każdego wykształconego człowieka, który nie był zacietrzewiony w najszkaradniejszej nietolerancyi, oszołomiły zupełnie polskiego chłopka. Dobre mniemanie, jakie sobie wytworzył o rządzie pruskim, zostało jednym zamachem w puch rozbite, a także zniesienie ustaw majowych nie mogło mu przywrócić dawniejszej lepszej opinii o rządzie pruskim. W tenczas nastała *polityka antypolska.* Wydano *ustawę kolonizacyjną.* Wykupywano polskie włości i sprzedawano je tylko Niemcom. Dla Polaka było to wszystko tylko dalszym ciągiem walki kulturnej. Mówił on sobie: Dotychczas ścigano naszych zacnych kapłanów, a teraz kolej na nas. Jakie uczucia ogarniają polskiego wieśniaka, gdy o miedzę widzi rozdzielanie włości przez komisyą kolonizacyjną i mówi sobie: z tego nie dostanę nic na kupno, to jest tylko dla niemieckich chłopów, przecież jesteś Polakiem! Przez Towarzystwo hakatystów przeniosła się walka do miast i wytworzyła się atmosfera, która jest wprost nieznośną, tak dla Niemców, jak dla Polaków. Naprężenie jest tak wielkie, że już nie można bez ryzykowania awantury prosić razem Niemców i Polaków do towarzystwa. Byłby istotnie czas, aby utworzyć *związek ku krzewieniu pokoju na wschodnich kresach.* Tysiące Niemców i Polaków, którym wprost *obmierzły* obecne stósunki, przystąpiłyby do tego towarzystwa i przez to położyłoby się koniec rzekomemu niebezpieczeństwu polskiemu."

Są to, zdaniem naszem, bardzo piękne — — idealistyczne mrzonki. Niestety, sprawa polska dzięki polityce rządu pruskiego wstąpiła w taką fazę, że na drodze obywatelskiego załagodzenia swarów załatwiona być nie może.

Taż sama „*Kölnische Volkszeitung*" z powodu rewizyi u kleryka w Paderbornie tak pisze:

„Nasza dyecezya ma, jak wiadomo, w obwodzie przemysłowym i latem w kołach rolniczych i fabrykach w dyasporze znaczną stopę procentową polskich robotników i robotnic, których pastoryzacya sprawia wielki kłopot X. Biskupowi. Nasz dawniejszy X. Biskup Hubert starał się uzyskać kapłanów z dyecezyi, którzy władają polskim językiem, aby mogli objąć duszpasterstwo i w tym celu kazał urządzić kilkakrotnie polskie kursa w konwikcie Leonowym; także spowodowano młodych kapłanów, by dla lepszego wykształcenia się w języku polskim udali się na Śląsk. Że przy tem nie mogło zachodzić żadne podejrzenie, jakoby popierano narodowy polonizm, jest oczywistem i udowodniono faktem, *że X. Biskup odmówił przyjęcia kapłanów rodowitych Polaków do swej dyecezyi. Biskup Wilhelm postępuje wedle zupełnie tych samych zasad.* A jeśli się przejrzy szematyzm naszego biskupstwa, nie znajdzie się tam ani jednego kapłana, któryby był polskiej narodowości. Zresztą chwilowo nie ma kursu polskiego przy konwikcie Leonowym. Zamiast patrzeć z nieufnością na kształcenie młodych kleryków w znajomości języka polskiego, powinnoby ministerstwo raczej przeznaczyć środki na popieranie go. W naszej dyecezyi niestety brak jeszcze wielki kapłanów, mówiących po polsku. Natomiast *socyalna demokracya* posiada wysłańców, którzy doskonale władają językiem polskim, w obfitej liczbie i rozsyła ich w najdalsze okolice, gdzie tylko sądzi, że mogłaby liczyć na jakieśkolwiek powodzenie wśród katolicko-polskich robotników. Na wykształcenie ewangielickich duchownych w polskiem znajdują się państwowe środki do rozporządzenia, ale gdzie dla braku potrzebnych sił pasterskich wśród katolickich Polaków cierpi duszpasterstwo, tam nie zbiera plonów protestantyzm, tylko socyalna demokracya."

W artykule powyższym zasługuje na

największą uwagę ten klasyczny spokój z jakim gazeta niemiecka wyznaje, iż biskupi Niemcy za żadną cenę nie chcą dopuścić kapłana Polaka do duszpasterstwa nad wychodźcami naszymi.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Artykuł nasz napisany przed trzema tygodniami z okazyi jubileuszu pruskiego zrobił furorę — — wśród niemieckiej prasy. Pisma wszelkich odcieni skwapliwie rzuciły się na te karmelkowe słowa, jakieśmy napisali tam pod adresem Prus — a gdy je odczytano, uczynił się wielki lament w prasie hakatystycznej, gdyż „niebezpieczeństwo polskie“ ukazało im się nagle w tak czarnych kolorach, że tylko ręce załamać mogli hakatyści i łzy gorzkie ronić nad państwem pruskiem w obrębie którego idee tak zgubne się szerzą. O, zapewne panowie hakatyści — gdyby nasze słowa miały siłę trucizny, toby z was naturalnie ani jeden już nie istniał, a ze zbudowanego waszemi rękami gmachu kamień na kamieniu by nie leżał. Pokazuje się jednak z waszych głosów, że choć nasze słowa nie są tą trucizną, którą się strujecie, ale muszą mieć jakiś jej przedsmak, skoro tak lamentujecie okropnie nad swem państwem.

Nasze społeczeństwo podobne jest pod pewnym względem do człowieka, który — broniąc się od napastników — ma w ręku sękaty kij i bije. Tym sękatym kijem jest prasa polska. Hakatyści powinni zrozumieć, że im na nas silniej napadają, tem bardziej i z naszej strony kij jest w robocie. Oni sądzą, że gdy nas przycisną, kij nasz nie będzie ich po łbach młócił silniej, niż dotychczas — tymczasem nasze pismo może i chce im dać dowód, że im silniej oni nas naciskają, tem silniej my możemy pisać. Oni sobie mówią po przeczytaniu naszych artykułów: „już silniej nie można pisać“ a my tymczasem im pokazujemy, że na każdy nowy objaw ucisku, można odpowiedzieć jeszcze o parę tonów silniejszym artykułem, że aż piszczą tylko, bo w tych artykułach jest coś, z rozmachu cepów przy młóceniu.

Przytoczywszy nasz artykuł „**Posenerka**“ już straciła głowę z rozpaczy i w błagalnym tonie padając plackiem przed innemi pismami polskiemi i przed naszem duchowieństwem — aby Niemcom przyszły w pomoc i nas „poskromiły“.

Podobny apel równa się ze strony politycznych przyjaciół „Posenerki“ wyznaniu bezsilności i złożeniu broni.

Ej, „Posenerko“ — a któż to pisał w przeddzień wyborów w babimojskiem: „My, Niemcy jesteśmy tu panami a kto tego nie uzna, temu *żelazem* damy dowód siły.“

Tacy potężni, a dziś ze skomleniem leżą plackiem u nóg naszego duchowieństwa i naszej prasy i proszą, aby tylko „Praca“ tak nie pisała!“ Proszę, proszę....

Na powyższy a tak wcale niezwykły głos błagalny butnych dotąd hakatystów — dzielną odprawę dał „**Goniec Wielkopolski**“ pisząc bardzo trafnie:

„By hakatyści nasamprzód przyszli do przekonania, że gwałtem — nas niezłamią, jaki posiew, takie ziarno, im więcej prześladowań, szykan i praw wyjątkowych, tym więcej u nas hartu i odporności, tym większa solidarność w prasie naszej. — “

Te słowa powinny utkwić w hakatystycznych mózgach. Niech hakatyści wiedzą, że nasz radykalizm jest wywołany bezpośrednio przez nich samych i że Polacy wogóle nie są tacy głupi, aby na skinienie hakaty brać się za bary ze sobą i nawzajem się zwalczać. Ponieważ jednak — jak w każdej regule i w tej wyjątek być musi, przeto niedziw, że i tu znalazła się błędna owca, która za wyraźnem głosem „Posenerki“ pospieszyła hakacie z pomocą, oto „**Orędownik**“ uważał za konieczne stanąć w obronie biednego, uciśnionego państwa pruskiego, usiłując nas „poskromić“ prawiąc androny o obowiązkach dobrego tonu i ugrzecznienia wobec pruskich ministrów. To pismo usiłuje widocznie czasem wprowadzić czytelników w dobry humor. Nie odzywa się ono do pruskich ministrów, ani nie wzywa hakatystów do porządku, którzy tylekroć boleśnie obracają najświętsze uczucia polskie — ale nas chce uczyć dobrego tonu! Jeśli „Orędownik“ unika wobec władz używania takiego tonu, jak my, to dlatego, że się boi procesów, a bynajmniej nie dla tego, że jest zwolennikiem dobrego tonu: bo przecież co to on wypisywał za haniebne potwarze na ś. p. posła Mottego! Nawet w obec powagi śmierci uważał „Orędownik“ za zbyteczne zachowanie przyzwoitości i dobrego tonu. Wtedy nie było mowy o obowiązkach grzeczności i dobrego tonu w prasie — bo poseł Motty był to swój, od niego nie można było spodziewać się procesów, więc wtedy „Orędownik“ nie dbał o przepisy grzeczności i dobrego tonu ale gdy chodzi o ministrów pruskich, — a to co innego — wtedy gentlemen'em chce się okazać „Orędownik“. Lepiej by w stosunkach ze swoimi, w stosunkach wewnętrznych pozbył się grubiańskiej metody zaczepienia ludzi osobiście, a stroną chropowatą swej natury zwrócił się przeciw Prusakom.

Jak słuszną i jak na czasie jest nasza rada, którą tu „Orędownikowi“ udzielamy, niech posłuży za dowód następująca korespondencya, którą „**Lech**“ podaje:

„Z Wylatkowa pod Powidzem proszą nas gospodarze, abyśmy zamieścili sprostowanie do podanej przez nas wiadomości o zapisaniu się gospodarzy polskich w szeregi HKTystów. „Nie większa połowa — tylko *czterech polskich gospodarzy* naszej wsi dało się oszaludzić jakimś tam z Berlina przybyłym prorokom pruskiej trójcy, wciągającym tutejszych gospodarzy do bractwa trzech liter. *Ażeby na żadnego innego z nas podejrzenie nie padło, i żebyśmy jako obywatele z Wylatkowa mogli z czystem sumieniem każdemu z naszych braci śmiało w oczy wejrzeć*, przeto podajemy nazwiska tych, co się do powyższego bractwa zapisali i składkę dwóch marek na cele tegoż towarzystwa wpłacili. Oto są **następujący** mężowie: *Wojciech Imbierowicz*, sołtys, *Józef Lange* (polak), zięć sołtysa, *Franciszek Mikołajczak*, *Franciszek Stranz*.

I cóż ty na to szanowny „Orędowniku“? Tyś się winien właściwie cieszyć, że tak prędko zyskałeś aż czterech sprzymierzeńców, którzy razem z tobą na jedno skinienie z żydziałej „Posenerki gotowi stanąć w obronie zagrożonego prusactwa. Smutne i bolesne to zjawisko.

Do tych zbłąkanych czterech gospodarzy Wilatówka przemówimy jeszcze w jednym z następnych numerów „Pracy“ jeżeli do tego czasu nieporzucą tego — hakatystycznego bractwa, bo

„Niczem Sybir, niczem knuty,
Ni cielesnych tortur król
Lecz narodu duch zatruty
— To dopiero bólów ból.“

Atoli żywiemy błogą nadzieję, że owych zbłąkanych czterech polskich gospodarzy z Wiletówka natchnie duch święty, że im spadnie bielmo z oka, że oni odczują ten duch zatruty, który rozsiewają około siebie przez zapisanie się do Hakaty, — że odczują ten cały wstyd i te hańbę która ciężyć będzie nietylko na nich samych, ale na ich żonach, na ich dzieciach nawet, — dopóty, dopóki niewystąpią z tego — nienaturalnego bractwa trzech liter...

Jeszcze czas do odwrotu z pochyłej drogi, lecz spieszcie się — —

K. O.

Głosy od Przyjaciół.

Borbeck (w Westfalii)

Kochana nasza Praco!

Pozdrawiam Cię serdecznie w imieniu całej młodzieży polskiej w Westfalii, która w Tobie upatruje swego najlepszego przyjaciela i przewodnika.

A teraz chcę się przed tobą poskarżyć wielką krzywdą, jaka nam się tu dzieje ze strony tutajszego księdza Niemca.

W roku 1900 umarł w Borbeck wikary ksiądz Papst. Był to kapłan zacny i całą duszą oddany sprawom swego powołania. Odczuwał on — choć Niemiec — potrzebę serc polskich i ubolewał nad brakiem duszpasterzy dla Polaków. Czując sympatyę dla wychodźców polskich, postanowił nauczyć się po polsku, pojechał na dłuższy czas do Poznania i tam nauczył się dobrze po polsku. Parafianie Polacy niezmierną go wzamian darzyli sympatyą. Lecz, niestety, po krótkim czasie śmierć zabrała wychodźcom ich księdza. Obecnie w Borbeck bawi stale ksiądz Schater, który choć wprawdzie cokolwiek mówi po polsku, ale nie żywi sympatyi dla Polaków. Kilkakrotnie na posiedzeniu towarzystwa św. Józefa publicznie zgromił członków, gdy który swemu towarzyszowi zwracał uwagę na niestosowność mięszania słów niemieckich do polskiej mowy. Odradza też abonowania „Pracy“. Polacy, boleśnie odczuwając utratę księdza Papsta, postanowili w dowód wdzięczności swej postawić mu nagrobek kamienny z napisem polskim: „Wdzięczni Polacy“. Otóż ks. Schater temu się oparł i oświadczył, iż napis musi być też i w niemieckim języku.

Z tego powodu toczyły się burzliwe rozprawy na posiedzeniu towarzystwa, gdyż znalazło się kilku zacnych, patryotycznie usposobionych dzielnych młodych Polaków, którzy stanowczo wystąpili przeciw temu narzuceniu napisu niemieckiego.

Publiczna im się za to należy pochwała. Oby cała młodzież polska brała sobie z nich przykład, jak należy nieustraszenie występować w obronie polskości. Miejmy nadzieję, że dzielni ci ludzie nie popuszczą sprawy i jeśliby miał być pomnik z niemieckim napisem, to lepiej zebrane pieniądze przeznaczyć na fundusz, z którego czerpie zasiłki polska młodzież sposobiąca się do stanu duchownego.

Wierny przyjaciel „Pracy“ w Westfalii.

* * *

Dortmund, w lutym.

Kochana „Praco“!

Oprócz znacznej liczby Polaków, pracujących w kopalniach węgla i w fabrykach żelaznych, Polacy w Dortmundzie pracują w hutach, w walcowniach, lejarniach, w fabrykach maszyn i kotłów, w fabrykach konstrukcyi żelaznych i w pokrewnych temu gałęziach wielkiego przemysłu.

W fabrykach, gdzie praca trwa we dnie i w nocy, jak w hutach, koksowniach, walcowniach i gazowniach panuje dwunastogodzinny dzień pracy t. j. od 6-ej rano do 6-ej wieczór.

W fabrykach maszyn, lejarniach i t. d., gdzie przeważnie płacą od sztuki lub od godziny pracy, praca trwa od 7-ej do 7-ej wieczór. Co do płacy — to wynosi ona w fabrykach, gdzie praca trwa we dnie i w nocy — od 2 mk. 70 fen. do 3 mk. 50 fen. za dzień wzgl. noc. W innych, mianowicie w tych, gdzie zaprowadzono akord, dobry robotnik zarobić może 5 marek i wyżej dziennie.

Jest też dużo Polaków zatrudnionych przy budowie kanałów kolei żelaznych, przedsiębiorstw budowlanych i t. d., gdzie przeważnie tylko w lecie pracują. Zarobek wynosi 32 do 40 fen. na godzinę.

Opieka duchowna spoczywa w rękach dwóch zakonników Franciszkanów, którzy jako tako mówią po polsku, ale lud czuje, że ksiądz Polak wśród niego zupełnie innymi wynikami swej działalności mógłby się poszczycić.

Towarzystwa polskie w Dortmundzie liczą ogółem z 500 członków.

Pod wpływem gazet polskich stara się tutajsza kolonia polska ożyć trochę pod względem narodowym, ale te wysiłki niejednokrotnie napotykają na przeszkodę w postaci obojętności rodaków.

Z pozdrowieniem
w pogoni za szczęściem na obczyźnie
Dworak.

(Dziękujemy za interesujący list — niektóre szczegóły musieliśmy obciąć lub skrócić, była już bowiem korespondencya z Dortmundu niedawno. Prosimy o pamięć. — *Redakcya.*)

* * *

Lütgendortmund. (Westfalia.)

Kochana „Praco!“

Pozdrawiam Cię naprzód staropolskiem naszem: niech będzie pochwalony! My tu w Lütgendortmund pilnie „Pracę“ czytamy i każdy artykuł, zwłaszcza korespondencye omawiamy, bo widać, że „Praca“ tu w Westfalii coraz więcej ma Czytelników.

Lütgendortmund jest to wielka wieś, a raczej osada zaludniona przez robotników górniczych. Do parafii Lütgendortmund należy blizko tysiąc Polaków. Podług urzędowej statystyki górniczej jest 250 górników Polaków, ale zdaje się, że ich jest więcej. Tutejszy lud polski odznacza się wielką pobożnością, pracowitością i oszczędnością. W celu odprawiania nabożeństw dla Polaków przyjeżdżają Franciszkanie z Dortmundu trzy lub cztery razy do roku. Na kazaniach kościół zapełniony jest Polakami.

Stosunki z władzą duchowną miejscową są dość dobre, ponieważ proboszcz tutajszy, przeszło 70-letni staruszek, życzliwy jest dla Polaków i już za stary, aby się dać nagiąć modnym prądom politycznym.

Życzliwość swą ujawnia niejednokrotnie w stosunkach z miejscowem Towarzystwem polskiem „św. Kazimierza“, uznając w niem dodatni czynnik etyczny. Towarzystwo to istnieje od 1889 go roku (dotychczas jeszcze swego kwestjonaryusza nam nie odesłało. Przyp. Red.) i ma charakter więcej religijny, niż narodowy. Zebrania zaczynają się śpiewem pieśni nabożnych, a potem są odczyty, przeważnie z „Pracy.“ Towarzystwo liczy 100 członków i posiada bibliotekę (niewłasną). Co rok urządza Towarzystwo wspólną zabawę w rocznicę założenia, a oprócz tego wspólne święcone i gwiazdkę.

Na gwiazdkę przybywają członkowie z żonami i dziećmi, a wśród podarków dla dzieci, przeznaczonych przez Towarzystwo, jest znaczna liczba elementarzy polskich. Godny to przykład dla innych Towarzystw polskich na obczyźnie. Przewodniczącym jest obecnie pan Jan Pietrzak, bardzo godny człowiek i dbały o rozwój Towarzystwa Polak. Pod jego też przewodnictwem powinno Towarzystwo jeszcze bardziej zwracać uwagę na to, aby na każdem posiedzeniu odbywały się odczyty.*)

Z pozdrowieniem
Czytelnik.

* * *

Szanowna Redakcyo!

Kolonia polska w *Remscheid* składa się przeważnie z Polaków, którzy pochodzą z Prus Zachodnich i nieszczególnie mówią po polsku, ale odznaczają się żywem poczuciem narodowości.

Przed półtora rokiem zawiązało się tu Towarzystwo polskie „Zgoda pod opieką św. Józefa“, a pewną zasługę w zawiązaniu należy przypisać Polakom z sąsiedniego Langefeldu i Elberfeldu, którzy i obecnie jeszcze starają się pozostawać w blizkich stosunkach z nowem Towarzystwem. Towarzystwo „Zgoda“ narażone jest na przykre stosunki z miejscową policyą, która zabrania mu pochodów, dozoruje zebrania i utrudnia członkom zajmowanie się sprawami Towarzystwa; — niemniej zaś przykre stosunki ma z księdzem proboszczem, który Polaków nie lubi i śpiewu polskiego nie toleruje.

Gorliwy szerzyciel „Pracy.“

* * *

Miła nasza „Praco!“

Towarzystwa polskie w Elberfeldzie zasługują na wszelkie uznanie. Jest między innemi jedno, które pomimo bardzo szczupłych funduszów postanowiło abonować z kasy towarzyskiej pisma polskie dla członków opieszałych lub obojętnych wobec narodowości. Zaabonowano w ten sposób 10 egzemplarzy „Pracy“ dla rozmaitych Polaków, chcąc ich w ten sposób zachęcić do utrzymywania stosunków z krajem i wychowywania dzieci po polsku.

Towarzystwa polskie w Elberfeldzie są ogniskiem życia polskiego i dla okolicy. W niezbyt odległem od Elberfeldu mieście Barmen, gdzie jest do 500 Polaków, niema towarzystwa polskiego, sięga tu jednak wpływ towarzystw z Elberfeldu.

W niewielkiej odległości od Elberfeldu, a kwadrans drogi koleją od Remscheid jest miasteczko fabryczne Lennep. Mieszka tu przeszło 50 rodzin polskich i ze 300 osób narodowości polskiej, nie związanych węzłami rodzinnymi.

Kilkaset osób, między innemi 120 dziewcząt polskich, pracuje tu w fabryce kamgarnu.

O trzy godziny drogi od Elberfeldu oddalona jest miejscowość Düssel, gdzie przebywa stale dość znaczna liczba Polaków. Za staraniem Polaków z Elberfeldu i okolicy w styczniu 1901 roku założono tam nowe towarzystwo.

Po przemowie założyciela dało się zapisać jako członków odrazu 60 Polaków, a na pierwszy początek zebrano do kasy towarzyskiej przeszło 100 marek. (Dziwimy się tylko, że dotychczas jeszcze Towarzystwo św. Barbary jest tak opieszałe i nie odsyła formularza, podczas gdy oba inne ruchliwsze to już uczyniły. Red.)

* * *

Herne. (Westfalia).

Szanowna „Praco.“

Szanowna Redakcya ani się nawet nie domyśla pewnie, ilu tutaj ma zwolenników i przyjaciół. Bodaj czy jest drugie jakie pismo, któreby pomiędzy Polakami, rozsianymi na obczyźnie dużo miało zwolenników.

Wartoby też o tem pomyśleć, aby „Praca“ założyła własną agenturę w Herne, bo tu w *Herne**) jest do pięciu tysięcy Polaków. Statystyka górnicza wykazuje pokaźną liczbę 1360 górników Polaków.

Istnieje tu cały szereg towarzystw polskich, z pomiędzy których wypada na pierwszem miejscu, jako bardzo ożywione, Towarzystwo św. Stanisława, za-

---

*) Ku czemu pismo nasze dość materyału podaje. Na jedno tylko musimy zwrócić uwagę: Towarzystwo polskie bierze rok rocznie udział w tak zw. *Sedanfeście.* Przeciwko temu *„Praca“* jako pismo polskie *energicznie zaprotestować musi i zażądać od Towarzystwa, aby tego zwyczaju zaniechało,* gdyż on gorszy inne Towarzystwa polskie. Red. „Pracy.“

*) Który z Rodaków jest gotów do objęcia agentury „Pracy?“ Prosimy o doniesienie.

łożone w 1898 r. a liczące przeszło 200 członków.**)

Następnie na wyszczególnienie zasługują Towarzystwa: św. Jana, św. Kazimierza (180 członków), św. Izydora, Przemysłowców, oraz Koło Spiewaków „Cecylia,“ które już w r. 1898 miało 128 członków i 179 książek w swej bibliotece. Oprócz tych towarzystw istnieje jeszcze Towarzystwo loteryjne „Nadzieja“ i świeżo zawiązany „*Sokół*“, w zarządzie którego zasiedli dzielni druhowie Walenty Frąckowiak, Piotr Barciniak i Konstanty Jarocki. O zawiązaniu się tego gniazda sokolego niniejszem się bratnie towarzystwa zawiadamia. Naszym organem jest „Praca.“

(*Nowemu „Sokołowi“ i dzielnym jego kierownikom przesyła „Praca“ sokolskie pozdrowienie — „Czołem, druhowie!“*

„Sokół“ odrazu liczy już 30 członków. W Herne istnieje również polskie towarzystwo socyalistyczne, jedyne w całej Westfalii. Do roku 1899 istniało ono jako Towarzystwo robotników polskich „Przedświt“ i miało bardzo wyraźny charakter socyalistyczny. Zostało rozwiązane w r. 1899 a na jego miejsce zawiązano „Towarzystwo robotników polskich „Oświata. Liczy ono około 50 członków.

Stały abonent „Pracy.“

* * *

Horsthausen.

Kochana „Praco!“

W najbliższem sąsiedztwie z Herne leży Horsthausen. Mieszka tu około 1500 Polaków. Część pracuje po fabrykach, ale większość w górnictwie.

Z opieki duchownej Polacy nie są zadowoleni, bo chociaż liczba Polaków przewyższa liczbę niemieckich katolików, zaledwie cztery razy do roku przyjeżdża spowiednik polski Franciszkanin z Dortmundu. Piąty rok już istnieje tu polskie Towarzystwo św. Józefa, które liczy 200 członków, stara się o odczyty i dobrze się rozwija.

Stary Wiarus.

* * *

Szanowna „Praco!“

Chcę, jako nowy abonent, choć słów kilka napisać z mego miejsca pobytu.

Altenbochum jest to niewielka osada fabryczna, gdzie zamieszkuje z tysiąc ludności polskiej. Górników jest około 350, w innych zaś zawodach Polacy tu prawie nie znajdują zajęcia. Prawie wszyscy pochodzą z Księztwa Poznańskiego, naturalnie ze wsi. W r. 1891 założone tu Towarzystwo pod opieką św. Józefa, które w r. 1891 liczyło 77 członków, a obecnie liczy 110. Bibliotekę ma ale niewłasną. Gazety abonuje. Jest tu kilku Polaków, którzy starają się zachęcić rodaków do abonowania pism polskich, to też wszyscy niemal członkowie towarzystwa dopiero na obczyźnie nauczyli się stale czytywać gazety. W towarzystwie odbywają się tylko pobożne odczyty i wykłady religijne. Posiedzenia co 2 tygodnie. Na posiedzeniu przeciętnie 50 członków. *M. N.*

*) Dziwimy się, że zarząd tego Towarzystwa dotychczas nie odesłał formularza statystycznego, Red.



Uroczystość popielcowa w kościele.

Popielec.

Na popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy, a nawet najwięksi panowie nigdy go nie opuszczali. Dla tych, którzy nie mogli przyjąć tego obrządku we Wstępną środę, mianowicie po wsiach, powtarzano go drugi raz po kościołach w pierwszą niedzielę postu. Taka zaś była jeszcze pobożność Polaków w latach początkowych panowania Augusta III, że nawet chorzy nie mogący przyjąć popielcu w kościele, prosili o niego, aby im był dany w łóżku. Lecz pod koniec panowania powyższego króla, gdy wiara stygnąć zaczęła, popielec ledwie miał ciżbę do siebie w kościele i to najwięcej od pospólstwa, po domach zaś go rozdawać zaniechano.

„Ale natomiast nie fatygując księży, swawolna młodzież rozdawała go sobie sama, trzepiąc się po głowach workami popiołem napełnionymi, albo też wysypując zdradą jedni drugim obojej płci popiół na głowę. Ta jednak swawola praktykowała się tylko po małych szlacheckich domach i po miastach między pospólstwem. Często młokos przed lub za wychodzącą niewiastą, albo jaka dziewka przed lub za przechodzącym mężczyzną rzucała na ziemię garnek suchym popiołem napełniony, tak blizko osoby, żeby popiół wzniesiony w powietrze osobę tę obkurzył. Wówczas swawolnica lub swawolnik, zawoławszy: „Popielec mości panie, lub mościa pani, albo panno!“ uciekał. Że zaś nie każdy mógł znieść cierpliwie taki ceremoniał, mianowicie gdy ze swawolnikiem znajomości nie było, więc trafiało się, że wynikały zwady i bijatyki.“

Ks. Andrzej Kitowicz.

Popielec.

I brzmiała muzyka, a para za parą
Pląsając, kręciła się w koło;
A rozkosz złudna, pełną uciech czarą
Z rąk do rąk krążyła wesoło.

A światła płonęły tak jasno, uroczo,
W pryzmaty się mieniąc tęczowe,
I wzajem się z sobą mieszały ochoczo
Uśmiechy i stroje balowe.

I lica płonęły weselem i życiem,
A w żyłach kipiała krew warem;
A serca tancerzy spieszniejszem wciąż biciem,
Aż drżały pod uciech nadmiarem.
Wtem cóż to za dziwo? W tem kole namiętnem
Harmonia się mieszać zaczyna.
I zwolna, złowrogo, miarowem swem tętnem,
Północna wybija godzina.
I blaski wesela zaćmiły wnet chmury.
Pierzchnęła uciecha skrzydlata,
Po wtorku zapustnym, popielec ponury
Na progu zawładnął już świata.
Jak upiór grobowy z wybladłem swem czołem.
Szyderczem on rzucił spojrzeniem,
Na szaty godowe swym sypnął popiołem.
Na dusze nicości wspomnieniem.

Tak po dniach pustoty, skazówka zegara
Jest palcem, co niegdyś w uczt sali,
Tak grożnie nakreślił oczom Baltazara:
„Zważonyś“ i Bóg cię obali.
O! młodzi ty pusta! gdy w owej godzinie
Twą myślą na przyszłość się zwrócisz,
Jak grożnie do duszy ten głos ci popłynie:
„*Proch jesteś i w proch się obrócisz.*“

Lecz tego, co wyższe zna cele,
Popielec zasmucić nie zdoła,
Bo droższą mu będzie nad płoche wesele,
Rozwaga z powagą u czoła.

Emilia Leja.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Nie, wyszedłem w sprawie, do której mnie ten oto kolega namówił i nie chciałem o niej wspominać nikomu. Miałem się udać do niejakiej pani Lecomte w Boulogne. Nazwisko jej wymienione jest w papierze, z którego dowiedziałem się o sukcesyi.

— Chciałeś pan zapewne sprawdzić, czy to ta sama?

— Tak, i już wiem. Córka tej pani jest kuzynką mojej córeczki. Dlatego to może usiłowano ją wczoraj zabić i to właśnie w chwili, kiedy wykradli moją Martę.

Usłyszawszy to p. Lecoq zbladł, a Piédouche nie umiał ukryć zwego zdumienia.

— Powiadasz pan, że chciano zabić tę pannę? — podchwycił staruszek z najwyższym niepokojem, bo serdecznie kochał Teresę.

— Wykraść naprzód, a potem zabić — odparł Cambremer. — I moją Martę pewno zabiją! — dodał, chwytając się za głowę.

— Ale nie udało im się porwać panny Lecomte?

— Nie, szczęściem ja to spostrzegłem, wpadłem z pałką na łotrów, jednego powaliłem na ziemię, a drugi umknął...

— Zatem nic się nie stało pannie Lecomte?

— Nic zgoła. Zniosła to dzielnie. Prosiła, żebym o tem nie wspominał jej matce i zaprowadziła mnie do niej. Te zacne panie gotowe przyznać Martę za krewnę. Panna Lecomte prosiła mnie nawet, żebym jej przyprowadził „kuzynkę“... Ale ja tu nie przyszedłem po to, żeby panu opowiadać o moich odwiedzinach w Boulogne. Przychodzę prosić, żeby mi pan odnalazł córeczkę. Nie jestem bogaty, ale mam zaoszczędzonych tysiąc franków i oddam je panu z radością, jeżeli mi pan dziecko wyszukasz.

— Pomówimy o tem, gdy pan odzyskasz swoją małą.

— Więc pan przypuszcza, że ją odzyskam? — zawołał Cambremer.

— Jestem tego pewny. Nie podejmuję się nigdy sprawy, której przeprowadzenie jest wątpliwe. Gotów jestem panu dopomódz, ale pod dwoma warunkami.

— Przyjmuję wszelkie warunki z góry.

— A więc naprzód nie powiesz pan nikomu, że wziąłem to na siebie. Wniosłeś pan skargę przed komisarza — to dobrze. Wmieszanie się w to policyi nie zaszkodzi; ale ja nie chcę iść z nią ręka w rękę. Ona by mnie krępowała, a ja ją.

— Rozumiem to wybornie. Zresztą nie spodziewam się niczego po prefekturze. Za dużo ma na głowie, żeby się troszczyć o takiego biedaka. Przypuszczam nawet, że mnie podejrzewa o kłamstwo. Dowiedziałem się, że zasięgano o mnie wiadomości na dworcu Orleańskim. Ale jestem spokojny, że były dobre. Wszyscy znają i mnie i moją Martę, bo chodziła ze mną i po torze i na stacyę. Każdy miał dla niej dobre słowo. Naczelnicy dawali jej cukierki. Sam dyrektor, jak się dowiedział o mojem nieszczęściu, to rozesłał po wszystkich dworcach rysopis małej i kazał aresztować ludzi, z którymiby ją ujrzano.

— A teraz powiem panu drugi warunek — rzekł ojciec Lecoq. — Ja będę dochodził praw pańskiej córki do sukcesyi.

— Tak rozumiem, nie chcesz pan stracić zysków z tego interesu, w razie gdyby się udał. I owszem, powiem panu wszystko, co wiem.

— Mylisz się, drogi panie. Nie chodzi mi o korzyści, ale uważam, że to najpewniejszy sposób odszukania pańskiej córki. Wykradziono ją, aby jej niedopuścić do spadku, a mogli ją wykraść inni sukcesorowie, którzy chcą zagarnąć całą fortunę.

— To może racya, ale w takim razie jeszcze gorzej — biadał Cambremer. — Ci nędznicy nie zawahają się przed zbrodnią, byle się Marty pozbyć. Wykradli ją dlatego, by módz dowieść, że już nie żyje.

— Kto wie? Chcą może tylko niedopuścić, byś pan jej praw dochodził. Gdyby ją mieli zgładzić, napadliby na nią wieczorem na jakiej pustej ulicy, w chwili, gdy powracała ze szkoły.

— Bali się dopuścić takiego gwałtu. Przecież na ulicach stoją policyanci.

— Mój drogi panie, po co przypuszczać najgorsze? — uspakajał ojciec Vinet. — Pozwól mi pan działać, a pewny jestem, że sprawa weźmie obrót pomyślny. Przedewszystkiem chciałbym przejrzeć pańskie papiery.

— Hm! niewiele się pan z nich dowiesz. Jest to jeden tylko dokument. Niech go pan bierze. Na nic mi się już nie zda ten szpargał, bo teraz o niczem innem nie myślę, jak o znalezieniu swojej Marty.

— Odnajdę ją i spadek — oświadczył ojciec Vinet, chowając skwapliwie dokument, który mu wręczył Cambremer.

Piédouche odgadł, że jego zwierzchnik chce już sam pozostać i wyprowadził zwrotniczego.

Ojciec Vinet chciał najprędzej zapoznać się z treścią tego depozytu, lecz nie miał już na to czasu, musiał przedzierzgnąć się jaknajprędzej w nababa i ukazać się w tej postaci na przedstawieniu opery, gdzie miała być Arabela z Tolbiacem.

Wyszedł więc ze swojej kancelaryi, wsiadł niedostrzeżenie do powozu i kazał się wieść dyskretnemu stangretowi do Grand-Hotelu, przed którym wysiadł już jako Dżafer z Baburu.

Od służby, kłaniającej mu się do ziemi, dowiedział się, że jego intendent jeszcze nie wrócił.

Znalazłszy się sam, ojciec Lecoq, przy świetle dwóch kandelabrów, rozwinął dokument.

Był to duży, zżółkły już arkusz papieru, zapisany drobniutkiem pismem, tem trudniejszem do odczytania, że atrament już wyblakł. W nagłówku skreślone były te słowa ręką widocznie drżącą:

„Spodziewając się umrzeć lada chwila, pozostawiam córce swojej, Katarzynie, te wskazówki i mam nadzieję, że posłużą kiedyś jej lub jej dzieciom do ocalenia resztek naszego rodzinnego majątku, który mój nieodżałowany ojciec zostawił u lichwiarzy angielskich“.

Podpisane było: „Elżbieta Sullivan, z męża Guichard“ i datowane: „W Abbeville 11-go września 1838 r.“

Dołączona była tablica, klasyfikująca osobno i równolegle rozmaite gałęzie, na tym pniu wyrosłe.

Było ich pięć, a nad niemi widniało nazwisko protoplasty, wypisane dużemi literami:

„Maurycy Dawid O'Sullivan,
szlachcic irlandzki, kapitan piechoty.“

Po tem nazwisku i tytule, były następujące wzmianki:

„Urodzony w roku 1759 w Dublinie, zmarł w temże mieście 25-go grudnia 1810 r., pozostawiając z mojej nieodżałowanej matki, która o pół roku przed nim zeszła do grobu, pięcioro dzieci następujących:

„1) Jakób Patrycy O'Sullivan, urodzony 1780 r., który w 1799 r. wyruszył do Kanady w stopniu porucznika, następnie udał się do Indyi Wschodnich, zkąd, o ile mi wiadomo, nie powrócił.

„Nie wiem, czy się ożenił, a nawet czy żyje, ponieważ nie miałam o nim żadnych wieści od śmierci mego ojca.

„2) Anna O'Sullivan, urodzona 1790 r. wyszła za mąż w 1803 r. za Jana Slough, umarła w 1809 r.

„Anna, moja starsza siostra, miała z Janem Slough córkę Julię, urodzoną w 1806 r., a która w 1821 r. poślubiła w Londynie Wiliama Nesley i umarła w 1828 r., pozostawiając córkę, Zofię Nesley.

„Ta córka, urodzona w 1822 r., ma dziś lat szesnaście, dowiedziałam się niedawno, że jest nauczycielką u jakiegoś lorda, zamieszkałego w hrabstwie Salisbury i że wychodzi za mąż.

„3) Elżbieta O'Sullivan. To jest ja.

„Urodziłam się w 1798 r., a pozostawszy, po śmierci rodziców, bez środków utrzymania, zostałam przygarnięta z litości przez instytut katolicki w Dublinie, gdzie wychowują panienki ubogie; gdym miała lat czternaście umieszczono mnie w pewnym domu handlowym w Abbeville we Francyi.

„Ztamtąd wyszłam za mąż w 1816 r. za Piotra Guichard, nadzorcę robotników fabrycznych, którego, na moje nieszczęście, utraciłam w dwa lata po ślubie.

„Pozostałam wdową z córką Katarzyną, kończącą właśnie lat dwadzieścia jeden. Wydałam ją niebawem za porządnego chłopca, pracującego w przędzalni. Nazywa się Jan Bernier.

„Oby moja biedna Katarzyna była szczęśliwszą od swej matki!

„4) Georginia O'Sullivan, najstarsza z moich młodszych sióstr, urodziła się w 1801 r.

„Przybyła do Francyi w dwa lata po mnie; umieszczono ją w Paryżu, podobno wyszła tam za mąż w 1818 roku za urzędnika nazwiskiem Lecomte. Słyszałam, że miała syna i że już oddawna umarła; ale nie mogłam się dowiedzieć, co stało się z tym synem; pisałam kilkakrotnie do mojej siostry i jej męża, ale ani razu nie otrzymałam odpowiedzi.“

P. Lecoq przerwał czytanie i zaczął myśleć głośno:

— Ten syn jest ojcem Teresy — mówił. — Daty zgadzają się. Lecomte urodził się w 1820 r., ożenił się w 1855 r., umarł w 1869 r. Tak, to on. Teresa urodziła się w 1857 roku. Jest cioteczną wnuczką majora O'Sullivana, albowiem jej ojciec był jego rodzonym siostrzeńcem.

Zatem jest z nim w bliższem pokrewieństwie, niż córka Cambremera. Ten wykaz datowany jest z 1838 roku i urywa się na Katarzynie Guichard, siostrzenicy majora, poślubionej owego roku niejakiemu Janowi Bernier. Piédouche dowiedział się od Cambremera, że owa Katarzyna Guichard wyszedłszy za Berniera, miała córkę imieniem Paulina; i że ta córka poślubiła Piotra Cambremera i umarła, pozostawiając dziecko, to właśnie, które teraz wykradziono.

To dziecko jest w trzeciem pokoleniu, a więc prawnuczką majora.

P. Lecoq, ułożywszy sobie tę koligacyę, próbował z niej wyciągnąć wnioski.

— Jeżeli — myślał — wykradzenie małej i nieudany zamach na pannę Lecomte są dziełem tego samego człowieka, to jest on niewątpliwie spadkobiercą O'Sullivana z linii pobocznej, a więc dalszym. Dlatego to chce usunąć bliższe sukcesorki. Zastanówmy się: Wiemy, że Zofia Slough była na drodze do wyjścia za mąż w 1838 r. Jeżeli jeszcze żyje, to jest krewną majora, w tym samym stopniu, co Teresa. Jeżeli umarła i pozostawiła syna lub córkę, to ten syn lub ta córka są jego krewnymi w tym samym stopniu, co Marta Cambremer. Należałoby dowiedzieć się, za kogo Zofia Nesley wyszła za mąż w 1838 r. i co się z nią stało. Ale naprzód rozpatrzmy jeszcze jedną linię.

„5) Helena O'Sullivan, najmłodsza z moich sióstr, urodzona w 1810 roku. Nasza matka umarła, wydając ją na świat. Nie widziałam tej mojej siostry od lat dziecięcych. Wiem, że była jeszcze nieszczęśliwszą odemnie, bo musiała zostać aktorką w Anglii. Występuje w trupach prowincyonalnych. Niedawno poślubiła wędrownego aktora, Henryka Fassitt.“

— Fassitt! — zawołał p. Lecoq. — Ależ to nazwisko zamordowanej kobiety!

Radość staruszka nie miała granic. Nie spodziewał się takiego odkrycia i zrozumiał całą jego doniosłość.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Marya Fassitt, zamordowana przy ul. Arbalète, była córką owej Heleny O'Sullivan, najmłodszej siostry majora, a więc rodzoną jego siostrzenicą i tem samem główną spadkobierczynią.

Teresa Lecomte przychodziła dopiero po niej, a po Teresie Marta Cambremer.

Jeżeli kto miał interes w zgładzeniu wszystkich członków rodziny O'Sullivana, to przedewszystkiem chodziło mu o pozbycie się Maryi Fassitt, jako pierwszej przeszkody, drugą była Teresa Lecomte, trzecią Marta Cambremer. Wreszcie następowały dzieci Zofii Nesley, jeżeli wogóle pozostawiła potomstwo. Gdyby te dzieci przeżyły wszystkich sukcesorów, otrzymałyby cały spadek.

Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa jeden z tych potomków jest mordercą Maryi Fassitt. Mieszka widocznie w Paryżu, skoro usiłował wykraść Teresę, a porwał Martę.

Czyżby to był Tolbiac? — zastanawiał się pan Lecoq. Podaje się on za Francuza, ale może być rodem z Anglii, tembardziej, że służył w tamtejszej policyi i mówi po angielsku, jak rodowity Anglik.

Czemużby nie miał być synem owej Zofii Nesley?

P. Lecoq, zadawszy sobie to pytanie, zaczął znowu badać cenny dokument, ale po chwili szepnął:

— Nie, to niepodobna. Zofia Nesley urodziła się w 1822 roku. Tolbiac ma około lat pięćdziesięciu. Nie może być synem tej kobiety.

Wątpliwości i rozmyślania starego policyanta zostały przerwane wejściem Piédouche'a.

Sprytny agent pozbył się Cambremera, wsiadł do dorożki, kazał się wieść na bulwary i nieznacznie wsunął się do hotelu i do apartamentu nababa. Miał zawsze przy sobie klucz od przedpokoju. Ze zwykłą zwinnością zmienił „skórę“ i już jako murzyn wszedł do salonu.

— I cóż, panie naczelniku? — zapytał. — Co tam ten papier powiada? Ręczę, że wykazuje pokrewieństwo Tolbiaca z majorem.

— Nie ręcz, bo się zawiedziesz.

— No, ale tego mi nikt nie wyperswaduje, że wykradzenie Marty jest sprawką Tolbiaca, tak samo, jak wykradzenie głuchoniemego. Ma on zapewne drugie *locum* w okolicy Paryża, dlatego to spotkałem go na dworcu Orleańskim, dlatego wywieziono dziecko przez rogatkę włoską.

— Może masz słuszność. Powziąłem już pewien plan i może jutro zacznę go wykonywać. Zdecyduję się dziś wieczorem, po widzeniu się z Tolbiacem w Operze. Ma mi donieść o skutku poszukiwań, przedsięwziętych przez rzekomego Holtza.

Nowa Opera jest tuż przy Grand Hotelu. Nabab podążył tam pieszo ku wielkiej radości gapiów bulwarowych.

Za jego szatą wzorzystą i białym turbanem sunęły tłumy, ale był przyzwyczajony do tych manifestacyi i nie zważał na nie wcale.

Piédouche, jako Murzyn, był pewny, że nikt w nim nie pozna spokojnego kapitalistę, którego udawał przed chwilą.

Nagle w pierwszym rzędzie gapiów, przyglądających się nababowi, ujrzał Jana Galoupiat i jego małżonkę.

Rozstał się był z nimi przed dwoma godzinami w „Ogniu wiecznym“, nie dowiedziawszy się niczego nowego.

P. Lecoq nie zwrócił uwagi na tych Owerniaków, ale dawny numer 29 nie spuszczał ich z oka.

Szli za nababem i pokazywali go sobie palcami. Żaneta pociągała męża za rękaw, jak gdyby go chciała skłonić, by się zbliżył do tego, dzięki któremu pobierali po pięćdziesiąt franków codziennie.

— Byle ci moi kumowie nie strzelili konceptem i nie podeszli do pryncypała wobec tych wszystkich ludzi — myślał Piédouche. — Wszak go już widzieli na sali sądowej i oczywiście poznają go teraz. Kto wie... może odnaleźli pannę służącą i krążą teraz koło Grand-Hôtelu, wyczekując na mnie. Tak, nic innego — mówił sobie po namyśle.

A gdybym na nich skinął... ośmielił jakim znakiem? Nie, to zbyt niebezpiecznie. Otacza nas ze trzydzieści osób, a wśród nich widzę dwóch agentów policyjnych, moich znajomych.

Piédouche, wziąwszy to wszystko pod uwagę, zdecydował się pozostać w swej roli i przekroczyć próg teatru.

Widział, że Żaneta zaczyna wymachiwać rękoma, że ją mąż mityguje, i że wreszcie oddalają się. Wtedy dopiero pożałował, że wszedł w skórę Murzyna. Gdyby był obywatelem z ul. Lappe, mógł był podejść do małżonków i zapytać ich, co się stało, a tak musiał udawać, że ich nie zna; ale trudna rada: niepodobna być dwiema osobami jednocześnie.

W chwili gdy nabab wchodził do bocznej loży pierwszego piętra, podniosła się kurtyna i zaczął się czwarty akt „Hugonotów.“ Poświęcano sztylety.

P. Lecoq był nieczuły na chór, od którego ściany drżały, rozglądał się po sali, korzystając z tego, że wszystkie lornetki są zwrócone na scenę. Niebawem w fotelach amfiteatru dostrzegł Tolbiaca i piękną Disney.

Arabela miała jaskrawą toaletę i ładne brylanty. Tolbiac wyglądał na dystyngowanego gentlemana.

Piédouche skorzystał także z ogłuszającego potoku dźwięków, aby szepnąć swojemu panu na ucho:

— Pryncypale, zdaje mi się, że jest coś nowego. Przed chwilą, na placu widziałem węglarza z żoną. Patrzali na pana, jak gdyby chcieli coś powiedzieć.

— Uważaj, czy będą jeszcze stali, gdy wyjdziemy — rzekł Lecoq, nie odwracając głowy.

— A jeżeli będą?

— Odprowadzisz mnie do hotelu, przebierzesz się w mig i powrócisz na plac, żeby ich złowić.

— Nie tak łatwo wysunąć się niepostrzeżenie z hotelu o pierwszej w nocy.

— Milcz. Tolbiac mnie lornetuje. Zaraz się ukłoni. Nie powinien spostrzedz, że rozmawiamy ze sobą.

Istotnie Tolbiac rozejrzawszy się po sali, zobaczył nababa i nieznacznie trącił łokciem Arabelę, która na to ostrzeżenie odpowiedziała spojrzeniem znaczącem. Po chwili wstał i wyszedł, pozostawiając towarzyszkę samą.

— Przyjdzie do mojej loży — myślał Lecoq. — Musi mieć coś ważnego do powiedzenia, skoro nie czeka końca aktu.

Jakoż otworzyły się drzwi i Tolbiac wszedł po cichu. Nabab przyjął go grzecznie, ale chłodno, jak gdyby był nierad, że mu przeszkadza słuchać muzyki.

Detektyw usiadł, wcale tem nie zmieszany:

— Wasza Ekscelencya daruje — rzekł — iż jej przerywam tę uciechę artystyczną. Ale muszę się z nią rozmówić dziś wieczorem, a ponieważ Arabela wychodzi przed końcem przedstawienia, więc ją odprowadzę.

— Jakto? — rzekł nabab — Pani Disney chce się pozbawić przyjemności wysłuchania do końca tego arcydzieła?

Musi wyjechać do Londynu jutro rano, a kobiecie nie tak łatwo wstać o siódmej.

— Czyżbyśmy mieli utracić tak miłą osobę? Wszak nie wraca do Anglii na stałe! — zapytał nabab uprzejmie.

— O! bynajmniej. Zabawi z jaki tydzień najwyżej i mnie bierze ze sobą.

— Więc i pan odjeżdża?! Aż dwie niemiłe nowiny odrazu.

— Wasza Ekscelencya jest zbyt uprzejma. Proszę mi wierzyć, że chętniebym się wyrzekł tej podróży, bo nie znoszę Londynu, a za Paryżem przepadam zwłaszcza od czasu, jak miałem zaszczyt poznać Waszą Ekscelencyę; ale jak się tu oprzeć pięknej kobiecie? Zresztą i ja mam kilka spraw do załatwienia. A teraz Wasza Ekscelencya pozwoli sobie donieść o rezultacie poszukiwań p. Holtza. Był u mnie i kazał powiedzieć, że póty się do Waszej Ekscelencyi nie zgłosi, dopóki nie będzie mógł przedstawić jej stanowczych dowodów, istnienia sukcesora, którego Wasza Ekscelencya poszukuje.

— Kiedyż będzie mógł to uczynić?

— Zdaje mi się, że po moim powrocie.

— Czy go pan sam przyprowadzi? — pytał Lecoq, patrząc swojemu interlokutorowi prosto w oczy.

Detektyw ani drgnął.

— Przyszlę go panu — odpowiedział. — To wielki dziwak, porozumiewa się zwykle ze swoimi klientami bezpośrednio; jeżeli dziś zwrócił się do mnie, to tylko dlatego, że nie chciał Waszej Escelencyi niepokoić o godzinie, w której Wasza Ekscelencya nie zwykła przyjmować. A po południu musiał wyruszyć w podróż, będącą w związku z temi poszukiwaniami.

— Czyżby ostatni krewny majora przebywał zagranicą?

— Nie sądzę. Holtz nie chciał mi nic powiedzieć, dał jednak do zrozumienia, że będzie poszukiwał go tutaj na prowincyi.

Tolbiac wstał i pożegnał się mówiąc:

— Będę miał zaszczyt zobaczyć Waszą Ekscelencyę za tydzień najpóźniej.

P. Lecoq nie zatrzymywał go. Po chwili spostrzegł, że Arabela wychodzi.

Tolbiac nie ukazał się już na sali; widocznie umówili się poprzednio, że spotkają się w korytarzu.

Ów pośpiech zadziwił starego policyanta; przeczuwając, że coś się pod tem ukrywa, postanowił on tę parkę mieć na oku, to też natychmiast opuścił widowisko.

Nie dostrzegł już jednak Arabeli ani na schodach, ani w przedsionku. Przed teatrem nie było już Owerniaków.

Nabab powrócił do swoich apartamentów, a zamknąwszy się w nich, rzekł do Piédouche'a:

— Domyślam się wszystkiego. Ten łotr sam się zdradził.

— Co on panu mówił? — zapytał eks-numer 29.

— Zapowiedział, że odnajdzie spadkobiercę za tydzień. Widocznie tyle mu czasu potrzeba, żeby zgładzić to dziecko i Teresę Lecomte. Oznajmił, że jutro wyjeżdża do Anglii, bo dla dopięcia swego celu, musi zniknąć na tydzień, ale ręczę, że nie przepłynie przez kanał. Dokąd się udaje? Tego jeszcze nie wiem, a muszę powiedzieć jaknajprędzej, bo niema chwili do stracenia. Trzeba ochronić pannę Lecomte od powtórnego zamachu.

— Więc pan sądzi, że to on usiłował wczoraj...

— Jestem tego pewny. Ponieważ mu się nie udało, będzie próbował znowu.

— W takim razie on wykradł dziecko Cambremera?

— Nie ulega wątpliwości. Obie są spadkobierczyniami chce się ich pozbyć, zanim mi przedstawi swojego spadkobiercę. A pozbędzie się ich w ten sposób, co Maryi Fassit.

— Pan przypuszcza, że Tolbiac zamordował Angielkę?

— Jeżeli nie on sam, to jego poplecznik.

— W takim razie należy się udać do prefekta policyi i opowiedzieć mu wszystko. To ocali pana Ludwika.

Nieszczęśliwy ojciec wstrząsnął głową.

— Gdybym to zrobił — rzekł — wziętoby mnie natychmiast pod klucz, gdyż popadłbym w podejrzenie. że knuję intrygi w celu wykazania niewinności Ludwika. Zechciej zrozumieć, że mam głębokie przekonanie, ale nie mam jeszcze dowodów, a muszę je mieć, by wystąpić jawnie... Cofa się wyrok, zapadły na jednego podsądnego w takim tylko razie, jeżeli prawdziwy winowajca zostanie skazany za tę samą zbrodnię. Nie pozwanoby Tolbiaca przed sąd za to tylko, że zajmuje się sukcesyą O'Sullivana. Nie aresztowanoby go nawet.

— W takim razie nic mu nie możemy zrobić.

— Przeciwnie. Pewny jestem, że Tolbiac znalazł jakieś ustronie, w którem działa swobodnie, coś w rodzaju warsztatu, na którym wykuwa swoje łajdactwa. Ten operacyjny teren musi być po za obrębem Paryża.

Tam wyprawił córkę Cambremera, tam chciał zawieść pannę Lecomte. Jeżeli on jest mordercą z ulicy Arbaléte, tam również wysłał skrzynię z trupem Angielki...

— Prawda, sierżanci zeznawali, że zaraz po schwytaniu przez nich głuchoniemego, powóz odjechał w stronę bulwaru l'Italie — zawołał Piédouche.

— Ekwipaż, uwożący Martę, przejeżdżał także przez plac de l'Italie.

— Łotr jechał zapewne do tego ustronia, gdym go widział na dworcu Orleańskim — nadmienił Piédouche.

— Naturalnie, a odjeżdżał z panną służącą Maryi Fassit. Słuchaj — mówił stary Lecoq. — Przebierzesz się natychmiast za rentjera i postarasz się wyjść z hotelu bez zwrócenia na siebie uwagi.

Pójdziesz wprost na ulicę Godot i obierzesz punkt obserwacyjny naprzeciw mieszkania Tolbiaca. Kto wie, czy nie zechce wyjechać jeszcze dziś w nocy, choć przypuszczam, że wstrzyma się do jutra rana.

W takim razie, skoro świt, weźmiesz fiakra na godziny i będziesz czekał z nim o kilka domów dalej. Gdy Tolbiac wyjdzie, każesz jechać za nim. Przypuszczam, że wstąpi po Arabellę i że wyruszą razem na dworzec Orleański.

Postaraj się być przy kasie razem z nimi, weź bilet na tę samą stacyę, co oni i miej ich na oku. Jeżeli wsiądą do pierwszej klasy, ty wsiądziesz do drugiej, a przy wyjściu na stacyi końcowej postarasz się, żeby cię nie spostrzegli. Potem pierwszym odchodzącym pociągiem wrócisz do Paryża i wstąpisz na ulicę Arbaléte, zapytasz Owerniaków, czy niema nic nowego, uprzedzisz ich, że nie przyjdziesz na obiad pod „Ogień wieczny“, potem wrócisz tutaj i zdasz mi sprawę, jak się spisałeś. Czyś zrozumiał?

— Tak, panie pryncypale. Jeżeli i tym razem Tolbiac nam umknie, to już nie będzie moja wina.

Piédouche poszedł się przebrać.

Pan Lecoq skazany był na bezczynność. Nie mógł nic przedsięwziąć przed powrotem byłego numeru 29.

Tymczasem obmyślił plan działania i napisał list do panny Lecomte.

Dowodził jej w nim, że nie zaniedbuje sprawy i ostrzegał ją o grożącem niebezpieczeństwie.

List był krótki, ale starannie ułożony, tak, by Teresa mogla się domyślić, kto go skreślił, a pani Lecomte nie odgadła ukrytego słów znaczenia. Zaklinał narzeczoną swego syna, by nie wychodziła pieszo, dopóki nie otrzyma wieści od przyjaciela, dodawał otuchy, zapowiadając, że niebawem wszystko się wyjaśni.

Pan Lecoq skończył właśnie ten list, gdy do pokoju wszedł Piédouche w przebraniu kapitalisty. Stary policyant nie spodziewał go się tak wcześnie — była zaledwie ósma zrana — i domyślił się, że ten przyśpieszony powrót nie zapowiada nic dobrego.

— No i cóż? — pytał zaniepokojony.

— Panie pryncypale, sam dyabeł nam bróździ.

— Jakto! — pozwoliłeś mu umknąć.

— Nie, przybyłem zapóźno.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że ptaszek wyleciał już z klatki, gdy stanąłem na straży przy ulicy Godot.

— To niepodobna, chyba że zmarnowałeś dużo czasu.

— Ani minuty. Nie potrzebowałem nawet czekać, aż korytarze hotelowe się zaroją. Wyszedłem zaraz po przebraniu się i całą noc chodziłem po ulicy Godot. Przez cały ten czas nie otworzyła się ani jedna brama domu. Mieszkają tam sami spokojni obywatele. Wreszcie o piątej zawołałem dorożkarza. Miał konia zupełnie wypoczętego. Wsiadłem do dorożki i kazałem stanąć naprzeciw domu, o który nam chodzi. Punkt obserwacyjny był znakomity.

Czekałem godzinę; nie było widać nikogo. O kwandrans po szóstej wyszedł stróż i zaczął zamiatać ulicę. Potem wysunął się groom Tolbiaca w pantoflach i paląc fajeczkę szedł do sąsiedniego handlu win.

To mi się wydało dziwnem, i powiadałem sobie: Gdyby Tolbiac wyjeżdżał, to ten chłopiec nie włóczyłby się po ulicach. A więc Tolbiac pewnie został.

Kazałem dorożce odjechać o kilka domów dalej, wysiadłem i zbliżyłem się do stróża, pytając, o której mógłbym się widzieć z panem Tolbiacem.

„W każdym razie ani dziś, ani jutro — odrzekł mi na to. — Wczoraj wieczorem wyjechał na wieś i powróci dopiero za tydzień.

Pomyślał sobie wówczas.

— Rozumiem. Nie wracał wczoraj do domu, nocował u Angielki, i wyjadą dziś razem o siódmej. Bulwar Hausmann o kilka kroków. Mam jeszcze czas.

Wsiadłem znowu do fiakra. O pół do siódmej stanąłem przed domem Angielki. Nie trzeba było nawet pytać. Panna służąca stała na chodniku z odźwiernym. Usłyszałem jak do niej mówił:

— A więc wasza pani wyjechała na wieś.

A ona mu odpowiedziała:

— Tak, wczoraj, po przedstawieniu Opery. Uprzedziła mnie, że nie wróci aż za jakie sześć dni. To się dopiero cieszę. Będę mogła używać miasta.

Byłem już poinformowany dostatecznie. Zagadnąłem odźwiernego o jakiegoś lokatora nieistniejącego i kazałem się zawieść na bulwar i...

— Wyjechali zapewno prosto z Opery... Powóz czekał na nich przed portykiem.

— I ja tak myślę.

— Dlaczegożeś nie przyszedł do mnie z tą wiadomością odrazu?

— Bo chodziłem jeszcze na ulicę Arbalète. Odszukałem Owerniaków i pociągnąłem ich za język... Czy pan pryncypał wie, dlaczego oni tak chcieli zbliżyć się do pana wczoraj? Bo zobaczyli pannę służącą Maryi Fassit, wchodzącą do teatru.

— Czy z Tolbiacem?

— Nie, była sama, ale wystrojona, kapiąca od brylantów.

— Czekali zapewne, aż wyjdzie.

— W tem właśnie bieda, że Janowi spać się zachciało. Żaneta upierała się, żeby zostać, ale on postawił na swojem. Nagadałem ja mu za to, co się zmieści, mówiłem, że gdyby pan dowiedział się o wczorajszem niedbalstwie, toby się pięćdziesięciofrankówki urwały. Galoupiat tak się przestraszył, że obiecał chodzić co wieczór pod Operę.

— Czy można liczyć na niego?

— Gotów sypiać na schodach teatru, byle nie stracić trzech tysięcy franków, które mu obiecałem w imieniu pana pryncypała za odszukanie tej lafiryndy.

— No, co się stało, już się nie odstanie. Trzeba teraz pomyśleć, jak naprawić to głupstwo.

Przynieś mi rozkład jazdy na kolejach. Leży w moim gabinecie.

Gdy Piédouche powrócił z książeczką, stary Lecoq odezwał się w te słowa:

— Trzeba się zabrać ostro do dzieła. Dowiedziałem się wielu rzeczy ważnych, ale to jeszcze nie wszystko. Muszę ci swój plan wyłożyć, bo chcę żebyś rozumiał, czego od ciebie żądam. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Tolbiac ma drugie mieszkanie pomiędzy Paryżem a Orleanem. Dojeżdża tam czasem koleją, jak owego dnia, gdyś go spotkał na dworcu, czasem końmi — jak zapewne wczoraj po operze. Wyszedł z niej o dwunastej, a o tej godzinie żaden pociąg nie odchodzi z dworca Orleańskiego.

Gdyby jeździł dorożką, możnaby przypuścić, że to jego mieszkanie — dom w mieście, willa pod miastem, czy też pałac na wsi — jest w pobliżu Paryża; ale jestem prawie pewny, że jeździ powozem, i to nie swoim; zbyt ostrożny, żeby wtajemniczać swojego stangreta. Ten powóz przychodzi zapewne po niego z owej przygodnej siedziby i odwodzi go nie na ulicę Godot, lecz w odludniejszą dzielnicę, dajmy na to w pobliżu placu de l'Italie.

— Przypuszczam, że małą Cambremer wykradziono tym właśnie powozem.

— Jesteś zbyt pospieszny w swoich wnioskach. Otóż wczoraj Tolbiac, obawiając się, by go nie śledzono, wsiadł z Angielką do dorożki i kazał się zawieść na miejsce, gdzie na nich czekał ów ekwipaż, przeznaczony do nocnych wypraw. Chodzi teraz o to, ile koń, dajmy na to, para koni, może ujechać bez zmęczenia?

— Pigache, który służył w konnicy, potrafiłby odpowiedzieć na to lepiej odemnie. Sądzę jednak, że dobry zaprzęg może zrobić dziesięć do dwunastu mil dziennie, ale konie muszą popaść po drodze.

— Tolbiac podróżuje zapewne nocą, a konie nocą bardziej się męczą. Przypuszczam, że nie wstępuje do oberży na popasy, bo oberże są zamknięte wśród nocy. A zatem ich konie dobrze spasione ile mogą ujechać jednym tchem?

— Hm! To zależy. Trzy, cztery mile.

— Otóż Choisy le Roi, pierwsza stacya, leży o dziesięć kilometrów od Paryża. Ale wątpię, żeby jeździł do Choisy le Roi, bo w takim razie łotrzyca, która wykradła małą Cambremer, nie wymieniłaby tej nazwy.

Następna stacya Ablon, odległa o piętnaście kilometrów czyli o cztery mile blizko. Otóż mnie się zdaje, że trzeba szukać na odległości pomiędzy czterema a ośmioma milami od Paryża.

Na tej linii lub obok. Tolbiac wysiada na jednej z tych stacyi, a następnie udaje się pieszo, konno lub powozem do swojego domu, pałacu lub do swej fermy.

Przypuśćmy zatem, że wyrusza koleją o ośm mil od Paryża, to jest do Bretigny. Ta stacya znajduje się właśnie na odległości 32 kilometrów. Przed Bretigny a po za Choisy mamy sześć stacyi: Ablon, Atis, Juvisy, Savigny, Epinay i Saint-Michel.

Tolbiac wysiada zapewne na jednej z tych sześciu i dąży na prawo, albo na lewo od toru kolejowego, ale zapewne niedaleko.

— Więc pan chce przetrząsnąć całą tę okolicę? — podchwycił Piédouche.

— Tak zwiedzimy te stacye i przyległości w promieniu dziesięciu do dwunastu kilometrów.

— I owszem, tylko...

— Tylko co?

— Jeżeli pan pryncypał będzie podróżował jako książę indyjski, a ja jako czarny intendent, to we wszystkich wioskach będzie wrzało, jak w ulach; nasze przybycie będzie sygnalizowane na dwie godziny przed ukazaniem się.

— Czyż jabym się pokazywał w tym kostiumie, tak dobrze znanym Tolbiacowi? — Za kogo ty mnie masz Piédouche? Postanowiłem przybrać się za komiwojażera; ty będziesz kolporterem.

— Więc nie będziemy chodzili razem?

— Nie, ale do tej samej miejscowości, tego samego dnia. Zaraz ci swoją myśl wyłożę. Najłatwiej zasięgnąć języka po miastach i miasteczkach, wyciągając na gawędę oberzystów. Najlepszym sposobem wywiedzenia się wszystkiego po wsiach — pociągnąć za język gospodynie. Ja biorę na siebie miasta, wioski tobie polecam.

A zatem przyjeżdżam koleją do pierwszej stacyi, zwiedzimy wszystkie sześć po kolei — zatrzymuję się w najlepszym hotelu.

Ty przybywasz pieszo z paką na plecach w godzinę po mnie lub przedemną i zatrzymasz się w lichej oberży.

Ja biegam po domach bogatszych, ofiarując swoje wina. Wybrałem wina dlatego, że z tym towarem można się wszędzie wśliznąć. Ty chodzisz od drzwi do drzwi, częstując nićmi, guzikami, bawełną.

Ma się rozumieć, przy spotkaniu na ulicy, udajemy, że się nie znamy. Ale co wieczór idę w stronę kościoła — w każdem takiem miejscu bywa kościół — i ty także wychodzisz w tę samą stronę. Wtedy porozumiewamy się za murem. Ty mi opowiadasz, coś się dowiedział; ja wydaję ci rozporządzenia na dzień następny.

— Rozumiem, panie pryncypale. Trzeba wyrobić pozwolenie na kolportaż, zaawizowanie w prefekturze. Pigache mi go dostarczy.

— Ja już mam, czego mi potrzeba. Pomogłem niegdyś firmie win Jenkins, Ravson & Cie z Liverpoolu do schwytania kasyera, zbiegłego z 10,000 szterlingów.

Jenkins jest moim przyjacielem. Mam jego faktury, cenniki, listy z firmą. Handluje winami hiszpańskiemi i portugalskiemi, mało znanemi u nas. A teraz do dzieła. Pójdź mi kupić ubranie i walizkę. Zawieziesz mi je na ulicę Roquette, wszystkie swoje ubrania i sznurki zapakujesz i złożysz na dworcu Orleańskim. Powiedz stangretowi, żeby przyjechał po nas na ulicę Scribe o wpół do ósmej. Powiezie nas niby na dworzec Saint Lazare, a właściwie na bulwar Ménitmontant. Zabierze ze sobą moje przebranie nababa.

Ty ucharakteryzujesz się po drodze. Łatwo przecie wejść w skórę kolportera. Ja mam więcej do roboty, więc się z tem załatwię w gabinecie ojca Vinet.

A jutro rano: w drogę! Niechże nas Bóg prowadzi!

ROZDZIAŁ V.

W trzy dni po owej rozmowie, wierny agent z panem Lecoq odbywali już swoją kampanię. Wszystko złożyło się pomyślnie.

Nazajutrz po rzekomym wyjeździe do Hawru, nabab przedzierzgnął się w komiwojażera, a czarny intendent w wędrownego kramarza.

Dżafer z Bahuru zwał się teraz Arystydesem Chalument, zaś Murzyn Ali — Piotrem Paladru.

Mieli obaj papiery, wykazujące, że p. Arystydes Chalument reprezentuje firmę Rawson i Jenkins dla sprzedaży win, zaś Piotr Paladru, rodem z Bourg d'Oisans, w departamencie Isére ma prawo roznosić po całej Francyi towary.

Twarze ich, odzież i całe zachowanie odpowiadały najzupełniej tym paszportom.

Piédouche potrafił przybrać fizyognomię, chód i głos górala z Delfinatu. Był niegdyś w Grenobli i znał okolicę dostatecznie, by módz o niej mówić w razie potrzeby.

Znał na palcach ceny nici, szpulek, igieł, fularów i papierów listowych, umiał równie dobrze sprzedawać towar, jak i pociągnąć klientów za język, a w razie danym odpowiedzieć stósownie żandarmom.

Ojciec Lecoq odmłodził się o lat dwadzieścia, przybrał jednak postawę poważną, jak przystoi na reprezentanta solidnej firmy angielskiej.

Był trochę sztywny i chwilami zdradzał akcent angielski, choć był Francuzem, a nawet Paryżaninem ze swobody obejścia.

Miał w planie dwa typy i zamierzał ukazywać się raz w jednej, to znowu w drugiej postaci, stosownie do potrzeby.

W walizie wiózł kamizelki płócienne, spodnie kraciaste i kolorowe koszule.

Natomiast w skórzany kufer znaczony jego inicyami, włożył białe krawaty i garnitur frakowy.

Pierwsze dwa dni nie przyniosły żadnego plonu. Jeden dzień wystarczył do zbadania Ablon, Athis i okolicy. P. Lecoq przekonał się, że nie tu szukać należy. Informacye, które Piédouche przyniósł wieczorem pod kościół w Athis, utwierdziły go jeszcze w tem przekonaniu.

W Juvisy nie zdarzyło się też nic nowego.

Trzeciego dnia, rano, stary policyant wysiadł na stacyi w Savigny-Sur-Orge, w godzinę potem Piédouche przywędrował tam pieszo ze swoim tłomoczkiem.

Savigny jest miasteczkiem, liczącem tysiąc mieszkańców; w okolicy rozsiane są pałace i letnie siedziby. Miasteczko leży o 33 kilometry od fortyfikacyi, i oprócz kolei prowadzą do niego dwa bite gościńce: jeden idący od rogatki paryskiej l'Eufer przez Sceaux i Lonjumeau; drugi wychodzący od rogatki de l'Italie i przecinający Villejeuf i Juaisy.

Stary policyant powiadał sobie, „e jeśli Tolbiac rozpiął gdzie namioty, to bezwątpienia w tej okolicy, połączonej tak wybornie z Paryżem, a jednak ustronnej, w której można się łatwo było ukryć.

P. Lecoq stanął w najlepszym hotelu „Pod Jeleniem“ i dobrze trafił. Właściciel tego hotelu p. Bonasson, mieszkał w Savigny od lat, znał wszystkich o milę dokoła. Mógł wskazać pochodzenie i wymienić cyfrę majątków, wyliczyć koligacye, opowiedzieć historyę każdej rodziny.

Ciekawy z natury, dobrze poinformowany, dzięki swojemu zawodowi, był przytem gadułą.

P. Arystydes Chamulet nie pominął tak cennego źródła informacyi, a pragnąc zaskarbić sobie łaski restauratora, zażądał najlepszego numeru i dobrego śniadania.

Każdy nowy przybysz jest rzadkiem i ciekawem zjawiskiem w Savigny, rzadszem jeszcze komiwojażer, albowiem tacy zatrzymują się zwykle w większych miastach; ale przybycie komiwojażera sprzedającego wina od pięciu franków za butelkę, było prawdziwą osobliwością.

Właściciel hotelu sam mu przyrządził śniadanie, a gdy już stół był nakryty, zapytał go, czy zechce jeść z pewnym dostojnikiem z miasteczka.

P. Chalumet był rad z tej propozycyi, bo miał nadzieję, że dowie się, czego mu trzeba. Udał jednak, że mu to nie jest na rękę.

— Zwykłem jadać sam — odparł oberżyście.

— W takim razie jest pan niepodobny do naszych francuskich komiwojażerów. Każdy z nich krzywi się, gdy mu powiem, że niema u mnie *table d'hote'u.*

— Dawniej, gdym pracował dla pewnej firmy w Cetle, i ja lubiłem kompanię. Ale Anglicy nie znoszą wesołości, powiadają, że czyni uszczerbek interesom. Głupstwo, mój panie. Gdybym słuchał moich pryncypałów, to noga moja nie postałaby w kawiarni.

— A byłaby to wielka szkoda. Jest tu właśnie kawiarnia w przyległej sali. Trzyma ją moja żona. Palce oblizać, jakie tam przysmaki.

— Skosztujemy ich po śniadaniu, ojcze Bonasson. A potem trzeba będzie obejść znaczniejsze domy w mieście.

— Niewiele pan u nas zarobi, ale za to w okolicy będzie żniwo. Sami milionerzy. Znam co najmniej piętnastu, którym pańskie porto nie wyda się za drogiem. Ba! jest tu nawet pewien komiwojażer z Tuluzy, sprzedający pasztety. Zabawny chłopak! Zobaczysz go pan w kawiarni, a jeśli pan zechcesz, to zagra z panem w bilard nosem. Przybył tu zaledwie przedwczoraj, a już zrobił świetne interesy. Wprawdzie obiegł wszystkie pałace i firmy pomiędzy Epinay, Villemoisson i Morsang.

— Umie robić karambole nosem! To musi być ciekawe! — podchwycił ojciec Lecoq.

Nie dbał on wprawdzie o te popisy, ale przypuszczał, że od komiwojażera, który zwiedził całą okolicę, będzie mógł dowiedzieć się wielu rzeczy.

— No, ojcze Bonasson, ten dostojnik, którym mnie częstujesz, nie mieszka stale w Savigny, skoro jada w hotelu?

— Lecoq, jako wytrawny aktor, przybrał odrazu sposób mówienia komiwojażerów i nazywał oberżystę ojcem.

— Ten pan nie jest rodem z Savigny, ale mieszka tu od lat pięciu — objaśniał Bonasson. — I nie pochlebiając sobie, mogę powiedzieć, że to wielkie szczęście dla niego, iż znalazł taką restauracyę, jak moja.

— Więc jest nieżonaty?

— On?! niema obawy, żeby się kiedykolwiek ożenił. Naprzód już mu nie pora, a powtóre nie znosi kobiet, dzieci, wszelkich kłopotów gospodarskich. Posądzam go nawet, że za młodu musiał mieć jakiś zawód miłosny.

— Cóż robi ten zaciekły kawaler?

— Coż robi ten zaciekły kawaler?

— Nic zgoła. Był wspólnikiem dużego domu handlowego w Paryżu i zarobił na tem sporo pieniędzy. Pewnego dnia sprzedał swój udział, kupił dom w środku miasteczka, sprowadził się ze swoją starą służącą i odtąd nie ruszył się z miejsca.

— Czemuż wybrał Savigny, niż raczej Coubevoise lub Poinville le Pont?

— Nie wiem, a ręczę, że i on sam nie wie. To oryginał. Wyobraź pan sobie, że całemi dniami chodzi od domu do domu, zbiera ploteczki i opowiada je sąsiadom. Pozatem żyje, jak wilk, nigdy nie zaprosi nikogo.

— To się dopiero nudzi! Jabym nie przystał na takie życie. Wolałbym już wejść w skórę swoich pryncypałów, którzy pijają tylko herbatę i całemi dniami w niedzielę psalmy zawodzą.

Ojciec Fanineux nie pije nawet herbaty w domu: samą tylko wodę; za to nie gardzi nawet szampanem, jeśli go kto poczęstuje.

— Dlatego to może przychodzi na to śniadanie?

— Nie. Po to tylko, żeby obmawiać sąsiadów i opowiadać, jakie figle żony spłatały mężom.

— Miły gagatek z tego pańskiego Fanineux! Ciekaw też jestem go poznać — rzekł ironicznie Chalement.

— Zaraz go pan zobaczy. Przychodzi punkt o dziesiątej. Jeżeli mam jakiego komiwojażera, to stawiam dwa nakrycia. Wczoraj jadł z tym bilardzistą. Ale ten wesoły facet poszedł od rana w stronę Villemoissan. — Wróci dopiero w południe. Więc pan będzie jadł sam na sam z p. Fanineux... A co, czy nie mówiłem? Już idzie! — zawołał nagle oberzysta.

— Siadam do stołu. Powiedz mu pan, że lubię śmiech i gawędę i gotów jestem postawić butelkę przedniego wina. To go rozweseli.

Rozmowa toczyła się na progu hotelu. Pan Lecoq wszedł pośpiesznie do sali i usiadł przy okrągłym stole, nakrytym już na dwie osoby, a usiadł w ten sposób, by światło padało na jego współbiesiadnika.

Niedługo czekał. Drzwi otworzyły się. Oberzysta wprowadził gościa na salę, mówiąc:

— Niechże pan siada, panie Fanineux, śniadanie gotowe, a ten pan czekał od kwandransa na tak miłe towarzystwo. Musiałeś pan być akuratniejszym, jako wspólnik firmy Lheureuse, Bénard et Cie.

Pan Lecoq, usłyszawszy nazwisko L'heureuse, nastawił ucha, pamiętał bowiem, że kupiec zamordowany przy ulicy Arbalète nosił także to nazwizko i należał do takiej firmy. Nie było w niej jednak nazwiska Fanineux, więc może zachodziła pomyłka co do tożsamożności owej spółki. Bądź co bądź, należy to wyświetlić.

— Póki prowadziłem interesy, miałem sobie za obowiązek być akuratnym — odparł sucho gość spóźniony. — Teraz gdym się usunął od handlu, mam prawo robić, co mi się podoba.

Imci pan Fanineux wypowiedział zaledwie tych kilka zdań, a już stary policyant wiedział, z kim ma do czynienia, mógł był ręczyć, że ten chudy, zasuszony człowiek z gorzkim uśmiechem na wązkich ustach, był uroczystym głupcem, i że całe życie zeszło mu na dokuczaniu ludziom, zbieraniu pieniędzy i wygłaszaniu zdań szumnych przy najbanalniejszej sposobności. To też postanowił dostroić do jego tonu.

— Masz pan słuszność — rzekł z wielką powagą. — Wolność jest wolnością. Wszyscy ludzie są sobie równi. Dlatego to służy panu prawo kazać mi czekać na siebie i dlatego ja miałem prawo zacząć śniadanie, nie czekając na pana. Ojcze Bonasson, przynieś no kotlety i butelkę jakiego wina dobrego.

— Pan jeździ z winami? — zapytał Fanineux, zatykając sobie serwetę za kołnierzyk.

— Tak, panie. Że też pan to poznał odrazu!

— Niegdyś przez lat trzydzieści pracowało się w handlu. Był czas poznać ludzi.

— W czemże pan pracował?

— W płótnach.

— Przemysł czysto narodowy. Francya słynie ze swoich płócien.

— Czy pan reprezentuje dom angielski? — pytał Fanineux.

— Tak, Firmę Rawson, Jenkins et Cie. Wina hiszpańskie i portugalskie, Filie w Xeres i porto. Transport bezpośredni! Gatunki najrozmaitsze Xeres, Amontillado, Porto, Malaga, Tintilla de Rota, Alicante; w butelkach, w baryłkach; w beczkach. Do usług pańskich, panie Fineux.

— Dziękuję. To dla mnie gatunki za ciężkie. Niedomagam na wątrobę.

— Ha! to trudno, ale zechce pan może dopomódz mi swoją znajomością w okolicy. Papa Bonasson mówił mi, że pan znasz całą tutejszą arystokracyę.

— Znam i nie znam. Nie bywam u nikogo. Gdy się mieszkało przez lat trzydzieści w Paryżu...

— Trudno zadawać się z parafiaństwem. Tak, rozumiem. I ja bym o nich dbał, ale muszę myśleć o chlebie powszednim. Pan co innego. Kto doszedł do majątku...

— Dzięki Bogu, mam na moje potrzeby, ale żyję skromnie.

— Bardzo się to panu chwali. Dzisiaj byle milioner wynajmuje polowania i stroi damy z półświatka. A więc zdrowie pańskiego rozsądku, panie Fanineux! — zawołał Lecoq, dolewając śledziennikowi. — Jeżeli pan pozwoli — dodał — to wniesiemy zdrowie dam tej ozdoby życia.

— Pan znajduje, że to ozdoba? — podchwycil Fanineux urągliwie.

— Ma się rozumieć. Cóżbyśmy robili bez kobiet? Ręczę, że i pan im hołduje.

— Mój panie! — odparł uroczyście były kupiec — ręczyć można tylko za siebie. Dowiedz się pan, że przez całe życie unikałem kobiet, nie chciałem się nigdy żenić, bo znam utrapienia małżeńskie. Unikałem także związków nieprawych, bom miał sposobność przyjrzeć się zblizka opłakanym skutkom takich miłostek.

— Doprawdy? Więc miałeś pan przyjaciół kobieciarzy?

— Przyjaciół — nie, ale wspólnika, który drogo opłacił swą lekkomyślność.

— Damulki zrujnowały go zapewne.

— Gorzej: Został zamordowany.

— Jakto?! Zamordowany?! — podchwycił Lecoq, udając zdziwienie, a w duszy rad wielce, że się dowie szczegółów o śmierci p. Lheureuse. — Opowiedz pan, jak się to stało.

— Widać, żeś pan przyjechał z Anglii — odparł Fanineux z miną poważną. — Wszystkie dzienniki francuskie rozpisywały się o tem przez cztery miesiące, morderca skazany został na śmierć.

— Ha! teraz już wiem. Ta sprawa tej... damy pikowej. Czytałem o niej... Pamiętam, że zamordowano także mężczyznę.

— Tym mężczyzną był nieszczęśliwy Lheureuse, którego byłem wspólnikiem.

— Więc wzywano pana na świadka?

— Bynajmniej. Gdy to się zdarzyło, już od lat trzech wycofałem się z interesu. Dawny nasz kupiec Bérard odkupił mój udział. Zapewne skończy tak samo jak tamten, bo się za kobietami ugania.

Ojciec Lecoq dolał wina i kazał przynieść drugą butelkę oberżyście, licząc, że dowie się przy niej rzeczy ciekawych.

— Nie, panie — mówił Fanineux rozochocony — nie zeznawałem przed sądem, choć byłem jedynym człowiekiem, któremu Lheureuse czynił zwierzenia, ostatnim, który z nim rozmawiał.

— Co? więc go pan widziałeś przed śmiercią?

— Na godzinę przed zabójstwem — oświadczył Fanineux z zadowoleniem i dumą.

— Doprawdy? Opowiedz-że mi pan, co on mówił. To musi być ciekawe.

— Mogę panu powiedzieć to, czego nikt nie wie. Wyobraź pan sobie, przyjechałem do Paryża po moją rentę. Jeżdżę po nią co pół roku. Było to 13 stycznia, w sobotę. Chciałem wracać do Savigny wieczorem, bo nigdy nie nocuję po za domem — to już taka zasada.

Około siódmej wieczorem wysiadłem z omnibusu przy Odeonie. Pociąg odchodził o ósmej. Wyruszyłem pieszo na dworzec. Nie biorę nigdy dorożki. To także moja zasada.

Otóż idę sobie, aż nagle na rogu ulicy Soufflet spotykam starego Lheureuse. Przyczepia się do mnie i kładzie mi w uszy niestworzone rzeczy.

Bronię się, mówię mu, że to mnie nic nie obchodzi, ale naprożno. Był w takiem usposobieniu, że musiał się przed kimś wygadać, i ja padłem tego ofiarą. Plótł mi o jakiejś Angielce, którą poznał w Londynie. Opiewał jej piękność, dowodził, że go kocha szalenie... Taki dziad — miał już pięćdziesiąt dwa lata — co mu się roiło po głowie!

Roześmiałem mu się w nos i zacząłem mu prawić morały: że lepiejby siedział przy żonie i dzieciach, niż włóczył się po domach z półświatka.

— Czy pan wie co on mi na to odpowiedział? Oto, że kazał zanieść smaczną kolacyę na ulicę Arbalète, do swojej lafiryndy i że zrobiłbym mu przyjemność, gdybym tę kolacyę zjadł z nimi. Trzeba było słyszeć, jak go odpaliłem.

— Szkoda, żeś się pan nie dał namówić. Możeby do zbrodni nie doszło, — wtrącił Lecoq.

— Tak pan myślisz! A ja jestem pewny, że zamiast dwóch trupów byłyby trzy — zawołał Fanineux głosem tragicznym. — Gdybym był tam poszedł, nie piłbym dziś wina w pańskiem towarzystwie.

— Morderca nie ośmieliłby się przecie napadać na dwóch mężczyzn.

— Morderca nie był sam, skoro aresztowano jego wspólnika, niosącego trupa kobiety... Zresztą morderca pałał zemstą do starego Lheureuse i postanowił, bądź co bądź, go zgładzić. Moja obecność nie odwiodłaby go od tego zamiaru.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Śpiewka o wiślickich żniwiarzach.

Dawne czasy dobre czasy, mój Ty miły Boże!
Na tej naszej polskiej ziemi po pas rosło zboże;
I bydełko pieścidełko, że aż spojrzeć miło,
I dobytek kwitnął wszystek i dostatkiem było.

Pijatyki, bijatyki ani żadnej zwady,
Nieuświadczył w całym kraju, nieuświadczył zdrady;
A gdy padło rzucić radło, a ruszyć na wroga,
To ochotnie, jak mógł, każdy bieżał w imię Boga.

Król Łokietek setnie rządził, bo i kropił dzielnie;
Zaś gdy w domu, każdą sprawę rozsądził rzetelnie;
Ależ ci nań ciężkie czasy, oj ciężkie przypadły —
Czechów siła w kraj przybyła — z nimi król zajadły.

Pod Wiślicą nad pszenicą pocą się żniwiarze,
Aż tu jary pielgrzym stary w polu się ukaże —
Oj nie pielgrzym ci to stary, toć nasz król w kapturze;
Za nim w tropy czeskie chłopy hen już tam na górze.

Złapią króla, rzecze żniwiarz, — nie daj Panie Boże,
Więc go wezmą nasi chłopcy w środek między zboże;
Przyszli Czesi, ogłosili: kto dostawi króla,
Sto kóp groszy zań dostanie — to sobie pohula.

Sto kóp groszy — kęs nielada — prawi ktoś z gromady;
— Hej! świat cały mi za mały — my tam nie do zdrady.
I nie dali Czechom króla; ale gdy szedł dalej,
Stał Czech srogi pośród drogi, więc króla złapali.

Wzięli, króla w miasto wiodą, w ciemną wieżę wsadzą —
Hej frasują się żniwiarze i coś w kupie radzą;
Uradzili, zostawili niedorżnięte kłosy,
Poszli do wsi, we wsi wrzawa — ostrzą chłopcy kosy.

W mieście nocą czeskie warty chodzą wedle wieży,
A we środku król okuty na słomisku leży;
W mieście nocą pijatyka, cieszą się Czechowie,
— Oj nie wyjdzie wam to picie, nie wyjdzie na zdrowie.

O północku jednym razem, mój Ty słodki Chryste,
Krakowiacy śmigli w górę swoje kosy czyste —
Nie długo się zabawili z panami Czechami:
Het ich z kraju napędzili z pobitymi łbami.

I od wieży drzwi wysadzą, króla wyprowadzą —
Toć jesteśmy królu miły znów pod waszą władzą.
A król szczerze ich uścisnął: „Moi bracia rolni,
„Żeście zuchy, to będziecie od wszech danin wolni.
„Bądźcie zawsze tacy dzielni — niech was Pan Bóg chowa,
„I Najświętsza broni pana, ta polska Królowa!“

Wincenty Stroka.

Za „przystawek.“

Szkic.

Dzień był dziwnie duszny i upalny. siedziałam w cieniu rozłożystej lipy, książka mi z rąk wypadła. Cała natura zdawała się omdlewać, żaden ptaszek się nie odzywał, aż nagle zdziwiona usłyszałam szelest po za sobą — z bocznej alei wychodziła staruszka.

Ubrana nędznie, na głowie pokrytej resztką siwych włosów miała zawiązaną czerwoną chustkę, ręce jej drżały, a na plecach dźwigała pęk suchych gałęzi.

Spojrzałem ze współczuciem — przechodziła wolno, a spostrzegłszy mnie, przystanęła. i zginając się pokornie, rzekła:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! A dokąd to idziecie, babciu?

— Spojrzała smętnym i zagasłym wzrokiem.

— A dyć do nich! — odrzekła.

— Do kogo? do dzieci?

— O moja paniutku złota! miała ja dzieci, ale dawno już, dawno!...

— Więc pomarły?

— Tak — i nie — bo zostawiły wnuka, a ten wnuk — tych prawnuków, i mówiąc to wskazała na dwoje drobnych, bosych dzieci, które stały zdaleka, trzymając po garstce chwastu.

— Usiądźcie — rzekłam — i opowiedźcie mi coś o sobie — odpocznijcie!...

— Oj! odpocznę, odpocznę, bo ciężko! i z wielkim trudem gałęzie na drodze złożyła, a, zasiadłszy obok mnie na trawniku, zaczęła żałośnie głowę trząść i kiwać.

Milczałam przyglądając się kobiecie. Twarz jej, pokryta siecią zmarszczek, ręce tak spracowane, że prawie kształt straciły, to też żal ścisnął me serce i znów zapytałam:

— A wiele lat sobie liczycie?

— Pewno sto niedługo...

— A jak się nazywacie?

— A! co tam! babcia jestem i już! Ale dawniej, dawniej i ja byłam Wojciechową. a niby z przezwiska Barak! O moja paniutko jedyna, stare to rzeczy, i co tam mogą kogo obchodzić. Tak! tak! i ja byłam młoda, sama już nieraz i wiary dać nie chcę... Moi rodzice nie byli biedni, i na książce umiałam, ale potem krowa zdechła, grad, pogorzel, no i przyszedł Wojciech, niby ten „mój“ i mówił:

— Dajcie dziewuchę, tu u was się zmarnuje.

Matka płakała.

— Czy taki los dla niej chciałam, zawodziła, choćby gospodarz, a tu prosty parobek. Ale na co miałam czekać? poszłam i było mi nie źle.

Bywało „mój“ się napije i krzyczy:

— A ty *fanaberyje* ze łba se wybij, ty nic lepszego odemnie...

Oj! wybiła ja se fanaberyje, wybiła, bo w domu bieda, dzieciaczysków kilkoro, robota bezustanku... aż raz... przywieźli mi „mojego“ bez ducha. Drzewo w lesie zabiło go na śmierć... Nie było czasu na żale i lamenty. Dobrzy ludzie trumnę zbili na prędce, parę czarnych wołów pożyczyli i ot pożegnaliśmy się na długo. W biedzie, w nędzy dzieciska rosły i wyrosły jak dębczaki, lecz przyszła burza... porywała kiej suche gałęzie i moich porwała i... nie oddała!... Czy umarł i gdzie? alboż ja wiem? ręka moja ich nie chowała, stare oczy więcej nie widziały... Została synowa, ale i to biedactwo zmarło, zostawiając mi wnuka jedynego. O! ten musiał mieć wszystko, babula nieraz i całki dzień w gębę nie weźmie, a jemu kupi obwarzanka lub piernika! A potem miał i buty do kościoła, i harmonię śliczną co na niej różności wygrywał... aż i ten się ożenił. Ona — jak to ona, może i nie zła, ale od śmierci męża precz babę z domu wygania. Nazbieram chrustu, obiorę kartofli, a zresztą na co zdać się mogę? To i mówi: Idźcie babciu pod kościół. To i idę — dostanę co, przyniosę i znów cicho, Ale co po mnie? I tak dobra, mam kąt u siebie i „przystawek.“

— Co to przystawek? zapytałam.

— A no! co do komina swój garnuszek przystawię! oj! dobra! ona dobra! a co winna, że Bóg zabrać nie chce? Dobrze żyć, ale nie za długo, paniusiu jedyna, to i świat już inny, i nikt nie zna starej... oni wszyscy w grobie... To mówiąc ręką zamglone oczy przecierała i przyklęknąwszy, gałęzie wolno na plecy wciągać zaczęła. Pomogłam jej i nieznacznie datek w drżącą dłoń wsunęłam.

— O niech ci Bóg stokrotnie wynagrodzi, paniutku jedyna! wołała. Niech cię Najświętsza Panna ma w swojej opiece! I... dodała szeptem prawie — abyś lat moich nie doczekała!...

Antonina Sadowska.

Po co człowiek ma serce?

Po co człowiek ma serce? — po co i dlaczego
W różnorodnych tworów tłumie,
Wpośród całej przyrody, wśród świata całego
On jeden boleść rozumie?

Po co człowiek ma serce? — kto mi wytłomaczy
Tę zagadkę wszechistnienia?
Czyżby po to, by musiał omdlewać z cierpienia
I ciągle konać z rozpaczy?

Po co człowiek ma serce? — czyżby tylko po to,
Aby w pracy, w krwawym znoju,
Czuł się ciągle samotnym, nieszczęsnym, helotą—
By nigdy nie miał spokoju?

Po co człowiek ma serce? — człowiek lecz nie ludzie;—
Po co jeden wśród miliona
Radby wszystkich miłośnie przygarnąć do łona,
A milion żyje w obłudzie?

Po co?... Dosyć tych pytań — jużem nie ciekawy
Po co serce drży mi w piersi:
Po to, aby wśród walnej z podłością rozprawy
Przodem byli ci — co szczersi.

Po to — gdy pracowita człeka dłoń omdleje,
Gdy rozumu się moc złamie,
Zbawił wiarę, zachował miłość i nadzieję
I dźwignął do czynu ramię.

Po to człowiek ma serce, — tak po to jedynie,
By grzał niem ziemskie kolisko;
By czyn się rodził z czucia — czucie żyło w czynie;
Stworzony — Stwórcy był blisko.

A przez tę łączność z Bogiem, by nigdy w rozterce
Nie był z sobą — nie rozpaczał;
Aby wierzył i kochał, cierpiał i przebaczał —
Ot, po to człowiek ma serce.

Wojciech Glodowski.

Zazdrosna.

I.

Nieokreślony niepokój, niczem nie wytłomaczona zmiana humoru, ogarnęły panią Wandą w ten smutny dzień zimowy.

Zatęskniwszy nagle ze serdecznem słówkiem, zapragnęła zobaczyć męża, znajdującego się jak zwykle o tej porze w biurze, którego był dyrektorem.

Kazała wnet zaprzęgać i rzuciła stangretowi adres wiadomy.

Myśl, że za chwilkę znajdzie się u jego boku, spotka z tkliwą pieszczotą, zaspakajała ją z góry. Tak miłe przytem wspomnienia łączyły się z temi odwiedzinami! Dawniej — rok temu — podczas miodowych miesięcy, nieraz przybiegała niespodzianie do niego, szczęśliwa ze sprawionej mu radości, dumna z podziwu, jaki budziły w biurze jej tryumfująca młodość i uroda.

I teraz wbiegła szybko na schody i przeszła lekko przez długi szereg gabinetów, przeprowadzona spojrzeniem urzędników, pełnem szacunku i zachwytu. Jeden z sekretarzy zwrócił się ku niej z żywą gestykulacyą. Słuchała z roztargnieniem słów jego i przerwawszy je skinieniem głowy, z figlarną wesołością w oczach, pchnęła żywo drzwi prowadzące do pracowni dyrektora.

Nagle zatrzymała się.

Pan dyrektor nie był sam. Siedziała przy nim kobieta piękna i wytworna. Oboje pod wrażeniem zdziwienia, spowodowanego nagłem wtargnięciem, skamienieli przez mgnienie sekundy. On z ręką opartą na fotelu, na którym siedział powabny gość, przechylony był z galanteryą ku młodej kobiecie. Na ustach miał uśmiech pełen pieszczotliwych słodyczy, a w oczach rozjaśnienie. Ona przez rozchylone wesoło wargi, wskazywała rząd prześlicznych ząbków. Teraz jednak spotkawszy się z wejrzeniem w chodzącej, przybrała pozę spokojną i wyraz twarzy osoby, która nie znajduje się u siebie i oddaje się obojętnemu wyczekiwaniu.

Pani Wanda pozostawała wciąż na progu śmiertelnie blada, z głową dumnie wzniesioną z błyskawicą groźną w wejrzeniu. Od razu przypomniała sobie gestykulacyę sekretarza, odgadła niesłyszane przed chwilą słowa, przeniknęła ich intencyę. Tak! Na pewno chciał ją zatrzymać, nie dopuścić do gabinetu mężowskiego!

Inne poszlaki przybiegły jej naraz na pamięć. Stosunek męża do nieznajomej, zarysował się z nieulegającą wątpliwosci wyrazistością.

Brutalne to odkrycie w chwili sprowadzającego ją tu pragnienia pieszczoty i tkliwości — w chwili powracającego wesela było tak okropnem, iż nogi uginały się pod nią, a do twarzy nadbiegały spazmatyczne łkania.

Pan dyrektor, po zwróceniu się do nieznajomej ze słowami uprzejmego przeproszenia, podchodził ku żonie:

— Przepraszam i nie przeszkadzam — rzekła z ironią.

I zamykając szybko drzwi za sobą, przebiegła jednym tchem biura i korytarze i rzuciła się na pół zemdlona na poduszki karety...

II.

Przybywszy do domu, zamknęła się w swoim pokoju, postanawiając nie słuchać żadnych wyjaśnień.

Głęboko dotknięta tem, co uważała za zdradę mężowską, nie wiedziała co począć z życiem, które nagle wydało się jej złamanem, czczem, pozbawionem jakiegokolwiek punktu oparcia.

Czem ukoi rozpacz szarpiącą jej nerwy? Opuści dom w którym ją skrzywdzono? W którą obróci się stronę? Do rozwodu za mało ma faktycznych danych, a zresztą w tej chwili idzie jej przedewszystkiem o wywarcie zemsty na nim i na tej niegodnej.

Zemsty, która byłaby razem odwetem.

Tak. Wczoraj jeszcze Maks obrzucał ją na balu płomiennem wejrzeniem, nie szczędząc komplementom, równając się wyznaniu.

Ten młodzieniec piękny, młody, rozrywany przez damy, jej w hołdzie składał najgorętsze uczucia. I dla czegóż nie miałaby wysłuchać go, szukać pociechy w rozrywającej smutek zabawie, pokazać niewdzięcznikowi, iż zapoznane przez niego skarby inny odpowiednio ocenić potrafi?

Gorączkowe plany i rozmyślania, przerwał powrót męża. Zażądał bezwarunkowego wyjaśnienia jej „zagadkowego postępowania.“ Ale w stanie podrażnienia, w którym się znajdowała, wyjaśnienia owo zaostrzyło jedynie sytuacyę.

— Co ci jest, moja duszko? O co ci idzie?

Oburzona jego „bezczelnością“ odrzekła sucho, przygryzając wargi z udaną obojętnością.

— O nic... Tylko należało mnie uprzedzić; nie byłabym wam przeszkadzała.

— Ależ — tłomaczył się mąż — nie tylko, żeś mi nie przeszkadzała w niczem, ale sprawiłaś mi wielką przyjemność swoimi odwiedzinami. Przykrem mi było jedynie twoje nagłe cofnięcie się, które mogło dotknąć nie tylko mnie, ale i moją interesantkę.

Z uśmiechem, pełnym demonicznej ironii, młoda kobieta wyglądała tak, jakgdyby nie raczyła słuchać. Jedynie instynktowny ruch nogi zdradzał rozdrażnienie, sprawiane rozmową. Po ostatnich słowach męża, wybuchnęła nagle gwałtownem oburzeniem:

— Możebyś chciał jeszcze, żebym przeprosiła tę... damę?

Wyprostowała kibić i podniecając się brzmieniem własnego głosu, dodała:

— Tego już doprawdy za wiele. Skończmy naszą rozmowę. Proszę.

Pan dyrektor z kolei powstał żywo:

— Ależ to ty z swemi bezsensownemi przypuszczeniami możesz mnie naprowadzić na myśl i popchnąć.

— Popchnąć do czego?

— Nic, nic — urwał nagle małżonek

I istotnie przed oczyma jego ukazała się postać interesantki.

Nieme oskarżenie żony, zwróciło uwagę jego na powaby tej kobiety.

W pierwszej zaraz chwili podejrzenie żony zwróciło jego uwagę na jej ponętną postać. Po odejściu Wandy oboje doznali pewnego zażenowania, jak gdyby nagle suggestyonowano im myśl spólną. Wyczytał to w wejrzeniu interestanki, która toż samo dostrzedz musiała w jego wzroku. Uśmiechnęła się bowiem zagadkowo, a choć udała, iż nie zauważyła niemej sceny, która była dla niej obrażającą, rzekłbyś, iż pod gładkiem czołem przemknęło coś, niby pokusa, niby chęć zemsty za wyrządzoną zniewagę, lub kaprys, który mógł ją kiedykolwiek sprowadzić do tegoż gabinetu w usposobieniu istotnie groźnem dla domowego spokoju młodej pary.

Wanda odrzucała w słowach męża pogróżkę. Przyjęła ją jednak z uśmiechem pogardliwym, sądząc, iż już została spełniona.

Głosem zimnym, oschłym, ucinkowym rzuciła mu w twarz.

— Nie krępowałeś się wobec mnie, nie dziw się, jeśli to samo uczynię. Pozostawmy sobie wzajemną swobodę.

Pan został dotknięty boleśnie.

Mówiła o swobodzie? Czyż poślubiając go, nie szła za wolnym wyborem? A teraz tak łatwo przyszłoby jej pokochać innego? Już to samo, że cień podobnej myśli mógł jej przemknąć przez głowę, choćby w chwili rozdrażnienia, poniżej ją w jego oczach, przynosząc gorycz bolesnego rozczarowania.

To idź nie dodając ani słówka więcej, opuściła pokój z zachmurzonem czołem...

III.

Noc całą panią Wandę gorączkowały galopujące widziadła odwetu. Nad ra-

nem nakreśliła słów kilka do Maksa, prosząc o przybycie w południowej godzinie. Następnie siedziała długo przed źwierciadłem, obmyślając wykwitną toaletę. Tem maskowała udręczenie zgnębionego serca.

W miarę zbliżania się oznaczonej pory, rozkosz zemsty wydawać się jej zaczęła mniej upajającą. Rzecz dziwna w miejsce radości uczuwała rodzaj buntu, w którym przyjmowały udział szlachetniejsze instynkta i zasady wychowania.

Ten niespodziewany opór, budzący się we wnętrzu jej istoty, rozdrażnił ją, a następnie zasmucił.

Podeszła ku oknu, rozchyliła firanki...

Śnieg pokrywał dachy ulic, spowijał miasto całe jednolitym całunem. To jej przywiodło na pamięć śnieżną białość dziecinnych marzeń, harmonizujących z welonem, przywdzianym do pierwszej komunii. Taż sama barwa przynależną jej była tak niedawno, jako młodej oblubienicy. Gdzież podział się teraz ten symbol mistyczny? Suknię ślubną, odpowiednio przybraną, miała później na balach, ale jakże ona zmieniła charakter przez zalotne dekoltowanie? Ile rąk obejmując ją w tańcu, kaziło dawną szatę niewinności. A następnie ubiór ten porzucony, podarowany pokojówce, przerabiany, farbowany, dostał się może na jakie deski, *cafe-concert*, a może jeszcze niżej, do rąk ulicznej gałganiarki...

Serce jej zdjął niepokój. Czyż to nie obraz losu, który sobie gotowała? I ona również tak biała i czysta w dniu ślubu, teraz została porzuconą na pastwę poniżających pokus, które Bóg wie dokąd doprowadzić ją mogą...

W smutnem zamyśleniu rzuciła się na fotel. Jakiś melancholijny spokój ją ogarniał. Gorączkowe sny pierzchały, odsłaniając atmosferę przejrzystą, na tle której fakta odzyskiwały swą banalną prostotę.

Mąż ukazał się siedzący przy boku interesantki z uprzejmym uśmiechem zdawkowej grzeczności i gestem zdawkowej galanteryi światowej.

To była prosta grzeczność; nic więcej.

Rzuciła w dal spojrzenie pełne głębokiej zadumy, a następnie opuściła ramię ruchem zmęczonym.

— A zresztą — dodała z westchnieniem — choćby..

Nacisnęła paluszkiem guzik elektryczny; do wchodzącego służącego rzekła:

— Powiedz panu, że pragnę z nim pomówić.

Mąż przybiegł skwapliwie.

— Czy to prawda — pytała z błagalnem wejrzeniem — to coś powiedział o owej... osobie?

— Ależ zapewniam cię słowem honoru — odparł mąż z rozjaśnionym wzrokiem.

— I dodała — nie zobaczysz się z nią więcej, przyrzekasz mi to?

Sekunda wahania ujawniła niechcący tajemne życzenie męża. Pani Wanda w oczach nagle przysłoniętych, ujrzała coś w rodzaju żalu. Zadrżała trwożliwie na myśl o podwójnem nieszczęściu, jakie wywołać mogła jej niepohamowana zazdrość...

— Przyrzekam — rzekł w koncu mąż.

Zbliżył się do niej z uśmiechem, pragnąc rozpocząć bliższe wyjaśnienie. Ale ona zasłoniła mu usta dłonią, którą ucałował gorąco i rzekła pieszczotliwie.

— Nie mówmy o tem. To już przeszło i już zapomniane, przez nas oboje zapomniane... Nieprawdaż?

Przypomniawszy sobie po chwili zbliżające się odwiedziny Maksa, zadzwoniła powtórnie.

— Nie przyjmuję dziś nikogo — nikogo — rzekła wyniośle.

J. R.

Popielec.

Zeszła noc, a miedź święta [1]) woła do popiołu
Od mięsa, od muzyki i hojnego stołu!
Jedni idą zwiesiwszy do kościołów głowy,
Którym w komży ksiądz sypie popiół z temi słowy:
Pamiętaj to, żeś z prochu powstał i zaś w ziemie
Rozsypiesz się, i wrzucąć do kośnice ciemie.[2])
I tak idą skruszeni do domów w południe,
Po mszach i litaniach, a znać nie obłudnie,
Bo zjadłszy żur, kapustę i moczone śledzie,
Wstaną zaraz od stołów i już po obiedzie.
Ale u drugich (a kto tak wiele policzy),
Jeszcze skrzypki i dudy słyszeć na ulicy;
Ci gonią dziewki, co je w klece zaprzęgają,
A one się nie bardzo widzę ociągają:
Ci chłopa w grochowiny ubrawszy prowadzą,[3])
A do której gospody wprzód iść mają, radzą;
Ten w kuflu drożdże dźwiga, ów gorzałkę mańką[4])
Pokazuje wysoko i potrząsa z bańką;
Ci krzyczą odprawując mięsopust szalony
Wabiąc drugich do ordy [5]) cnotą ustalony.
I tak w koło wesołe odprawując śmiechy,
Nawiedzają gdzie jedno zielone tkwią wiechy.[6])
Tam znowu wszyscy siędą, w nieporządne rzędy,
Rozwiesiwszy delje, bo cięża, na grzędy;
A tam już więc dopiero, tak jako na zgonie,[7])
Co jedno tchu dostawa, każdy w piwie tonie,
Obrotna się kaczmarka po izbie uwija,
Talerz niosąc z kreskami,[8]) gdzie się w rząd dopija;
A złożywszy on piwny bracia pobór w zgodzie,
Znowu każą kucharce na piwnicznym schodzie.[9])
Żeby piwo nosiła, a ta im rozmiary
Na stół stawia przed oczy, dla pewniejszej wiary,
Zatem kto chciw na karty i kostek się kręci,
Pobaczą to dwaj, wnetże i przyczynią chęci;
Dadzą mu wziąć raz, drugi, lecz po krótkiej wojnie.
Odda im to sowicie i nagrodzi hojnie,
Ale już dzień ucieka w kraje im podziemne,
A noc skrzydła rozciąga wszędzie na świat ciemne:
Więc z łuczywem na komin, niemaszli łojowej,
A ty strzeż gospodarzu radzę panny Ewy,
Bo niepewne drugie masz widzę tu chłopięta,
Co na zwierz sieci miecą [10]) w te wielebne święta.
Rozwadź i te, co od słów do dzbanków się mają,
A już na się zębami ledwie nie zgrzytają:
Tych hamuje, ale ów u stołu drugiego
Oblał się krwią w poswarku [11]) od razu tęgiego;
Ale i ten nie uszedł sam z poboju cały,
Bo go guzy od kija i pięści potkały.
I tak ona biesiada trwała w noc głęboko.
Aż na niebie błękitnem widzieć Wóz wysoko
I Plejady złociste i pozorne kosy,[12])
Kiedy naszym nie stało i piwa i groszy.

[1]) Dzwony kościelne; — [2]) t. j. czaszkę, głowę; — [3]) przebieranie za niedźwiedzia lub tura;— [4]) lewą ręką; — [5]) do kompanii; — [6]) zielona wiecha, oznaczająca wiecheć chmielu, była znakiem karczem i gospod; — [7]) na stypie pogrzebowej; — [8]) kreski robione kredą na oznaczenie liczby kufli; — [9]) na schodach wiodących do piwnicy; — [10]) zastawiają; — [11]) poswarek — kłótnia, zwada; — [12]) Wóz, Plejady, Kosy (w języku ludowym Kosniki), grupy znane gniazd.

Sylwetka z parlamentu
w sprawie szykan pocztowych.

Gdy na interpelacye naszych posłów w sprawie szykan pocztowych sekretarz stanu p. Podbielski odpowiedział wymijająco — podchwycił mowe jego niemiecki poseł p. Kunert, jeden z najdzielniejszych mówców parlamentu i w szlachetnem oburzeniu na takie niesprawiedliwe traktowanie Polaków — zaatakował p. Podbielskiego w namiętnych słowach, żądając energicznie, by mandarynów pocztowych powołać do porządku i by p. Podbielski nie poprzestał na słowach, ale zamiar zażegnania szykan pocztowych w czyn zamienił...

Nie słyszeliśmy niestety z ust ministra — mówił p. Kunert dalej — coś-my usłyszeć byli powinni, a mianowicie: że poczta ma być i pozostać instytucyą centralną. P. Podbielski jako przełożony niestety zrobił podwładnych sobie urzędników pomocnikami policyi. Nie jest to w takim stopniu krzywdą dla Polaków, jak straszliwym blamarzem dla niemczyzny.



Poseł Kunert
(w obronie sprawy polskiej).

Jeden z panów posłów wyraził się, iż sprawy polskiej w parlamencie rozbierać nie można. A ja właśnie twierdzę przeciwnie, że ją przy tej sposobności bardzo słusznie poruszyć można. Pan Podbielski uważa za rzecz tak łatwą niemczenie nazwisk polskich; to niechże nam powie, jakby chciał przetłómaczyć swoje nazwisko? „Podbielski" brzmiałoby po niemiecku „Unterweisser." Coby to miało znaczyć nie wiem.

Ale to wiem — mówił dalej p. poseł Kunert podniesionym głosem — *że szykany pocztowe są jednem z ogniw w łańcuchu zarządzeń przeciwko Polakom. Łańcuch ten ma najlepszą swą charakterystykę w całem ustawodawstwie antypolskiem. Charakteryzują go wydalania, rozporządzenia w zakresie szkół, charakteryzuje go walka przeciwko językowi polskiemu i ograniczenie prawa stowarzyszania się, równające się jego zniesieniu zupełnemu.*

Rząd sam jest winien temu, gdy Polacy nie okazują się życzliwymi. — **Na Polakach dokonano jednę z najcięższych zbrodni!** — tej samej zbrodni, która się dokonywa przeciwko Burom, a którą potępiacie. **Cóż dobrego uczynił rząd dla Polaków?** — Ustawami wyjątkowymi nie zjagodzicie Polaków! Ustawy wyjątkowe pomagają zawsze tym, których się chce

pognębić! Czynom waszym, przeciwnym prawu, przeciwnym konstytucyi, trzeba kres położyć!

Dajcie Polakom prawo wolnego stowarzyszania się, dajcie im prawo koalicyi, a wtedy pomożecie nie tylko jednej partyi, ale służyć będziecie całemu narodowi, kulturze i cywilizacyi.

Tak się odezwał w parlamencie dzielny, szlachetny Niemiec w obronie naszej. Cześć mu za to!

P. poseł Fritz Kunert jest z zawodu publicystą i powieściopisarzem i mieszka w Südende pod Berlinem.

Urodził się 15 września 1850 w Alt Landsberg w pow. Niederbarnim. Od r. 1888—89 był radnym miasta Berlina, 1890—93 i 1896—98 i teraz znów jest posłem w parlamencie; obecnie reprezentuje wyborców miasta i powiatu Haale an der Saale.

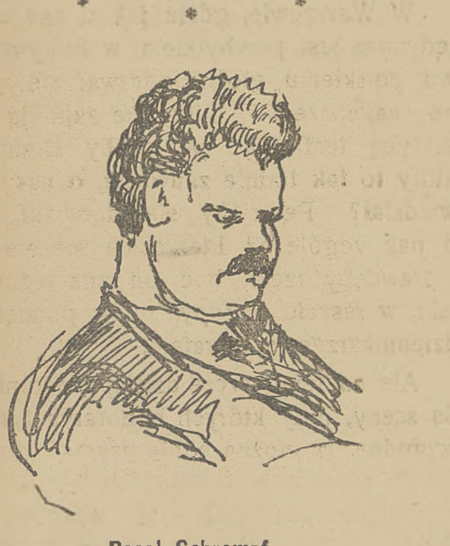
Z pod jego pióra wyszły liczne książki i rozprawy, które zrobiły wrażenie i znalazły poklask nawet po za granicami Niemiec a mianowicie: „Ferneziele“, „Weckrufe“, „Heilige Vehme des Militarismus“, „Mekka“ i t. p., p. Kunert poznał też dalsze kraje i zwyczaje, bo w r. 1877—1881 zwiedził południową Europę, Zachodnią Afrykę i Północną Amerykę.

Jest to więc człowiek o szerszem horyzoncie, człowiek wykształcony, światły i sprzyja Polakom; już przed laty gdy mieszkał jeszcze we Wrocławiu wstawiał się za nami piórem i mową a zawsze z tem samem zapałem, jak to teraz ostatnią razą miało miejsce w parlamencie.

Za swe zbyt krewkie wystąpienia wobec rządu naraził się p. Kunert na liczne procesa, a mianowicie w roku 1890 i 1898, przy której to okazyi zapoznał się z procedurą ustawodawstwa pruskiego wobec politycznych przestępstw...

Na tem kończymy krótką sylwetkę o pośle Kunercie i żywiemy nadzieję, że czytelnicy, że całe społeczeństwo z wdzięcznem sercem przyjmą te parę słów, któreśmy tu skreślili o mężu, który po rycersku, nieustraszenie stanął w obronie naszej, o człowieku szlachetnym i prawym. Cześć mu więc i wdzięczność nasza.

* * *



Poseł Schrempf.
(Polakożerca.)

Tak jak p. poseł Kunert z ogniem wystąpił za nami, tak zjadliwie wystąpił przeciw nam p. poseł Schrempf.

Zionął on na nas jadem gryzącej nienawiści, przyczem w sposób żakowski zaczepił Polaków. Dalej dowodził pan Schrempf, konserwatysta z południowych Niemiec, że Polacy przez swój opór utrudniają tylko poczcie robotę i że p. Podbielski dobrze zrobił, kasując adresy polskie.

Za to skarcił go dzielny poseł Hausmann, ludowiec z Niemiec południowych, zaznaczając, że poglądów pana Schrempfa nikt w Niemczech południowych nie podziela. Pan Schrempf tak jest na południu Niemiec niepopularny, że przy wyborach do sejmu wyrtemberskiego przepadł sromotnie i za to się mści na Polakach.

Temi słowami poseł Hausmann ośmieszył polakożerczego hakatystę Schrempfa przed całem parlamentem i zamknął mu usta od razu....

Biedny hakatysta! stracił płatne poselstwo sejmowe, a na dobitek, w parlamencie, — wo die Polenfresserei nichts einbringt — jeszcze go wyśmiano. To też — *smutna jego mina....* *B.*

Milan I., król serbski.

Urodził się on w dniu 22 sierpnia 1854 r. z Michała Jefremowicza, siostrzeńca panującego księcia Miłosza Obrenowicza i Maryi Katardżi. Wychowany został w Paryżu, zkąd jako 14-letni młodzieniec został powołany w dniu 2 lipca 1868 r. po zamordowaniu księcia Michała (Miłosza) III-go, do objęcia rządów książęcych w Serbii. Już wtedy nurtowały w Serbii prądy rozkładowe na rzecz Karageorgiewiczów, których skutkiem był zamach morderczy na księcia Miłosza w dniu 10 czerwca 1868 r. W początkach panowania Milana rządy sprawowała regencya z Risticzem. Uznany w r. 1872 za pełnoletniego, Milan żeni się w roku 1875 z Natalią Keczko, córką pułkownika armii rosyjskiej, panną bardzo bogatą z którą jednak dalsze pożycie miało być tak nieszczęśliwem. W d. 14 sierpnia 1876 r. urodził się Milanowi z tego małżeństwa syn, panujący pod mianem Aleksandra I-go.



Milan I., król serbski.

Pierwszym samodzielnym czynem Milana była, jak wiadomo, niefortunna wojna z Turcyą, prowadzona przez gen. Czerniajewa na czele armii serbskiej. Pod Aleksinaczem w r. 1876 spotkał Serbów formalny pogrom, któryby zakończył się katastrofą daleko cięższą, gdyby nie wybuchła zaraz potem wojna rosyjsko turecka. Wojna ta dopomogła Milanowi, który nietylko uzyskał samodzielność, lecz i rozszerzył znacznie terytoryum na koszt Bułgaryi, uzyskawszy dla siebie na kongresie berlińskim tytuł „wysokości“. Był to pierwszy krok do późniejszego tytułu króla. Jakoż za zgodą mocarstw w r. 1882 (6 marca) Serbia podniesiona została do godności królestwa, a Milan włożył na swoją głowę koronę królewską.

Niefortunna wojna z Bulgaryą znów zaprowadziła Serbię na brzeg przepaści i tylko interwencya Austryi zatrzymała w połowie drogi zwycięzkie wojska ks. Aleksandra Battenberga. Odtąd Milan zaczął się chwiać na tronie. Obciążony długami, skutkiem nieumiejętnej gospodarki finansowej i rozrzutności, otoczony intrygami, płynącemi z jego własnej rodziny, zaczął rozmyślać o abdykacyi, aby ocalić przynajmniej dynastyę. Ku temu celowi rozszerzył konstytucyę i w dniu 6-go marca 1889 r. abdykował na rzecz swego małoletniego jeszcze syna. Regencyę objął znów doświadczony i wytrawny Risticz.

Od chwili abdykacyi historya Milana staje się poniekąd kartką z jego pamiętnika prywatnego. Milan bawił nad Sekwaną, gdzie dalej używał po rozwodzie z żoną i — robił długi. To doprowadziło go do aktu niezbyt zaszczytnego zrzeczenia się w d. 30 września 1891 r. praw dynastycznych, a nawet obywatelstwa serbskiego wraz z obietnicą niewracania do Serbii za 3 miliony franków. W r. 1893 pojednał się z żoną i uzyskał unieważnienie rozwodu. W r. 1894 i zaledwie rok temu widzimy jeszcze Milana w Serbii, pomagającemu synowi umiejętną i zręczną radą. Ostatnio Milan zrywa z Serbią, gdy syn jego małżeństwem z Dragą Maszyn zadał cios jego ambicyi i powadze ojca. Ex król osiada na stałe w Wiedniu i umiera tamże niedoczekawszy się nawet odwiedzin swego syna. Umiera młodo, licząc zaledwie 47 lat wieku. *W.*

Kronika.

I już głowy nasze posypaliśmy popiołem i wstąpiliśmy w pierwsze dni postu, opromienionych jeszcze ostatnimi karnawału wspomnieniami.

Tydzień temu odbył się na nowej sali Bazarowej najpopularniejszy ze wszystkich balów — bal na Czytelnie Ludowe.

Wszystkim wiadomo, że bal ten urządza najpopularniejszy ze wszystkich naszych rodowych arystokratów, książę Zdzisław Czartoryski.

Imię jego jest głośne w całym kraju i wszędzie wspominają o księciu ze sympatyą i szacunkiem. Książę nie usuwa się też od żadnej sprawy narodowej, a częstokroć nawet przewodniczy w wielkich zbiorowych działaniach narodowych.

Potrzeba mi tylko przypomnieć wiec generalny, na którym książę marszałkował. Jeszcze dziś przypominam sobie piękne wstępne i końcowe przemówienia księcia, obdarzonego niezwykłym darem wymowy.

Mógłbym więcej o księciu Zdzisławie napisać, ale nie piszę jego życiorysu, wyrażam tylko na tem miejscu życzenie, aby książę jeszcze wiele razy przewodniczył przy poważnych akcyach narodowych i społecznych, i jeszcze długie lata z rzędu prowadził polonezy na balach urządzanych na rzecz Czytelni.

Bal otworzył książę Czartoryski z panią mecenasową Cichowiczową, za prowodyrem sunęło do 80 par.

Miłe ten bal pozostawi po sobie wspomnienie, bo bawiono się wybornie, a miasto i wieś łączyło się w harmonii i zgodzie.

Ponieważ rozpocząłem rozpamiętywania pokarnawałowe, sięgnę jeszcze wstecz i przypomnę, że w dniach 13 i 14 lutego odbywały się poważne narady rolnicze. „Dniem poważna praca — wieczorem wesoła rozrywka“ — oto było hasło tych dni.

Przysłuchiwałem się obradom rolników z wielką uwagą. Były one bardzo pouczające, bardzo wyczerpujące, bardzo nawet aktualne, a jednak z pewnem niezadowoleniem mówię o tych naradach. Oby rolnicy postanowili wyrazić życzenie, aby posłowie nasi głosowali za cłami.

Lecz nietylko więksi właściciele ziemscy tak się zdeklarowali, lecz także mniejsi, włościanie oświadczą się za cłami.

Za cłami przemawia powaga na polu ekonomicznem, p. dr. Witold Skarżyński, przemawia znakomity parlamentaryusz, p. dr. Komierowski, przemawia prezes Centralnego Tow. Gosp. na W. Ks. Poznańskie, p. hrabia St. Żółtowski, przemówiło Centralne Tow. Gosp. na Prusy Zachodnie. Wszystko to powagi uznane, a jednak mam odwagę wypowiedzieć zdanie, że sądy te wynikły z mylnego zrozumienia natury cła i skutków cła na płody rolne.

W ciasnych ramach kroniki nie mogę wszystkiego powiedzieć, co powiedzieć można, zresztą wypowiedziała już „Praca“ swoje o tem zdanie, dorzucę tylko to jedno, *że ci, co są za cłami, biorą pozór za istotę i w tem błądzą.* — Doświadczenie pouczy, że *rolnicy* z ceł żadnego pożytku mieć nie będą, natomiast duże zyski ciągnąć będą *spekulanci.*

Aż brzydko mówić o cłach przy poście — bo nuż skutkiem ceł żur podrożeje? A nuż zburzą się wszyscy zwolennicy żuru?

Z małych przyczyn są nieraz duże skutki. Lecz nie przesądzam skutku podrożenia żuru, przypominam natomiast, że tak jak *„ostatki“* miały ongi swe uprzywilejowane figle, tak i początek postu.

U nas te zwyczaje prawie zupełnie zanikły, chowają się jeszcze natomiast w innych częściach Polski, skąd duch postępu i tak zwanej kultury nie wyparł jeszcze starego zwyczaju i obyczaju.

Mojem zdaniem stary zwyczaj i obyczaj może istnieć nawet przy rozwoju kulturnym, trzeba tylko rzeczywiście kochać wszystko, co ojczyste.

Niestety pod tym względem więcej u nas słów, niż czynów.

Koniec karnawału, czyli ostatki zapustne, u nas w — Wielkiem Ks. Poznańskiem nie mają szczególniejszych cech, mówię tu o miastach, bo na wsiach nie zapominają o *„podkoziełku“*, natomiast w południowych Niemczech w Nadrenii, mianowicie w Kolonii i w Dyseldorfie ostatki mięsopustów są jednym wirem szalonych zabaw i pomysłów. Ci ludzie mają jeszcze humor, u nas wyjadła go po części Hakata. Smacznego żuru!

Acer.

Z teatru.

Na benefis pani Wysockiej.

Gdy zmrok wieczorny z blasków aniołem
Codzienną skończy waśń,
W liliowej bieli z gwiazdką nad czołem
Na ziemię schodzi baśń.
Złocistą nicią ubiegłe wieki,
Z dzisiejszem wiąże dniem,
Świat legendowy, jasny daleki,
Fantazyi wskrzesza tchem...

Jakże często ten echowo dzwoniący, malowniczy wiersz Or-ota odzywał nam się w duszy, gdyśmy wpatrzeni w postacie, przywołane do życia przez p. Wysocką, przenosili się „w świat legendowy, jasny daleki“... A dzisiaj, gdy przypominamy sobie te wieczory, w których serca nasze dzięki jej



Stanisława Wysocka.

talentowi dramatycznemu i urokowi żywiej biły, a na oczy poezyi padały kwiaty — trudno nie powiedzieć coś o swej wdzięczności. Nie staje bowiem pani Wysocka przed nami do krytyki w tym stopniu, co artystki innych scen. Nie można jej talentu fotografować i rozbierać jej przymiotów bez tła stosunków, w których żyje i występuje.

Artysta każdy potrzebuje czasu, i to wiele czasu do studyum zadanej roli, do dalszego kształcenia się w sztuce dramatycznej, do zaznajomienia się z nowoczesnemi poglądami i kierunkami artystycznemi, ze smakiem literackim obecnej doby, wreszcie do studyów z życia, podpatrywania typów, zagłębiania się w psychologiczną stronę ról.

O tem wszystkiem nie może artysta sceny poznańskiej — powiedzmy prawdę — po większej części ani myśleć. Ileż bowiem razy częściej jest na scenie niż garnitur mebli, chociaż tychże tak niewiele! To też nieraz rozpacz ogarniać go musi, skoro nie chce, jak kanapa lub kulisa opatrzeć się widzom, a czasu do studyum brak. Pewnie aż nadto często przypominają mu się szkolne czasy, gdy nieprzygotowany szedł do klasy. Ale tu na scenie jeszcze gorzej! Tam nauczyciel wiedział więcej od niego, w świetle kinkietów zaś nie widzi pani Wysocka prócz dyrektora ani jednej siły męskiej, któraby jej nie robiła dystrakcyi. Więc dwie rzeczy obrabiać musi: najprzód się starać, by skutkiem fatalnej gry partnera — nie zepsuć własnej roli, a następnie przygłuszać niesmak, budzący się w obecnych na widok parodyi i karykatury.

Gdzieindziej stanowi krytyka teatralna element wychowawczy dla aktorów — u nas brak tejże jest okolicznością łagodzącą występki mniej lub więcej dramatycznego artysty. Bo przecież bajeczka o treści sztuki i trochę zdawkowych frazesów o grze aktorów — jakie jedynie w pismach naszych się pojawiają — mają się do rzeczywistej recenzyi, jak (nie pochlebiając nikomu) „Poezye“ Bończy do prawdziwej poezyi. Już to prawda, że Wielkopolska staje się z każdym dniem coraz więcej Beocyą nad Beocyami!

W Warszawie, gdzie jak u nas teatr jedynym jest przybytkiem, w którym słowu polskiemu głośno odezwać się wolno, najlepsze siły literackie zajmują się krytyką teatralną. A cóżby Brandes, który to tak trafnie zauważył, o nas powiedział? Pewnieby się domyślił, że u nas wogóle sił literackich nie ma — i prawdęby rzekł, boć on zna różnicę, jaką w reszcie Europy robią pomiędzy dziennikarzem a literatem.

Ale na tem jeszcze dzisiaj nie koniec. Są sceny, przy których honoraryа tak są wygodne, iż można sobie trzymać kogoś do wyręczenia w domu, jeśli się ma tak zajmujące obowiązki jak wychowanie dzieci. — Nie wiem, czy scena poznańska pozwala na takie przyjemności swym pensyonarzom, ale to słyszałem, że w swem mieszkaniu przy ulicy Ludwiki wobec męża i dzieci występuje pani Wysocka całe dnie i noce w prawdziwej roli gos-

podyni domu, i matki, zanim tę samą rolę przedstawi na deskach...

W chwili gdy tegoroczny benefis p. W. się rozpocznie, już powyższe słowa nasze drukowane pojadą w świat. Żałujemy bardzo tego pospiechu — głos nasz bowiem miał być hasłem: cześć komu cześć! któreby rzuciło pod nogi artystce kwiaty i wieńce jako wyrazy uznania jej talentu i jej pracy. Niech zatem Poznań wypełni swój obowiązek względem pani Wysockiej.

Praca taka jak jej, odbywa się w innych stósunkach na polu artystycznem, u nas zarazem i na społecznem i narodowem — a uznanie więc jej z naszej strony tak samo dla nas jest obowiązkiem, jak dla artystki potrzebą. Hołd ten, złożony p. W. ma być wyrazem ogólnego w naszem społeczeństwie sentymentu, aby ją jak najdłużej dla naszej sceny zatrzymać. I nic słuszniejszego! Wydobywają się na jaw charakteru artystki elementarne siły uczuć i temperamentu, ukształcone przez studyum do odtwarzania klasycznych dramatów, a widać w niej także wielkie zdolności wczuwania się w kreacye niewieście obecnej doby. Patrzaliśmy nieraz na nią, jako na subtelnie wystudyowany typ nowoczesnej kobiety z całą skalą potęgowania kombinacyi psychicznych ze stanem patologicznym nerwów, i myśleliśmy sobie: szkoda dla niej, że jest tutaj w Poznaniu, ale dla nas lepiej!

Ostro-widz.

Znów więzienie i tak bez końca...

Dziś, dnia 21 b. m. toczył się przed tutejszą Izbą karną znów proces przeciwko naszemu redaktorowi, p. Władysławowi Siemiątkowskiemu, za artykuł p. t. „Hańba stulecia,“ zamieszczony w numerze 44 „Pracy“ z dnia 28 październik z. r., a omawiający aresztowanie panny Omańkowskiej za to, że bezpłatnie uczyła czytać i pisać biedne dzieci polskie.

W tym artykule, w którym aresztowanie i uwięzienie panny Omańkowskiej przez tutejszą policyą — nazwaliśmy „Hańbą stulecia,“ dopatrzył się trybunał sądu rzekomych podburzań do gwałtów i skazał p. Siemiątkowskiego znów na 6 miesięcy więzienia.

Jest to już druga kara, a każda po 6 miesięcy, która spadła na nas za omówienie uwięzienia panny Omańkowskiej.

Ponieważ wyroków sądu nie wolno krytykować, przeto pozostaje nam tylko do zaznaczenia, że gdyśmy skrytykowali uwięzienie panny Omańkowskiej — to nie nawoływaliśmy do gwałtów jak sąd utrzymuje, tylko nazwaliśmy sprawę tak, jak się należało — po nazwisku, t. j. „Hańbą stulecia.“

Komisya kolonizacyjna, wyklęcie języka polskiego ze szkół i urzędów, bractwo hakaty i t. d. — to jątrzy i wzburza lud — tam winna prokuratorya wkroczyć...

Lecz jak wyżej zaznaczyliśmy, wyroków sądowych krytykować nie wolno...

Wolno nam atoli przytoczyć zdanie znanego publicysty prof. Delbrücka, że, „im więcej więzień, tem smutniej w państwie,“ — a my w uzupełnieniu dorzućmy jeszcze, im sroższa kaźń za sprawę dobrą, tem jaśniejsza jej przyszłość. — —

Czytelnicy! gdybyśmy wszyscy chowali każde słowo pod korzec, to zapomnianoby o nas, to powiedzianoby słusznie, że już nas niema. To też trzeba wszędzie tam, gdzie się to godzi, powiedzieć słowo prawdy bez pytania. jaka spadnie na nas kara. —

„Praca“ nie jest pismem, które założono, by wydawcy zysk przynieść i może byt zapewnić. „Praca“ jest założona w tej myśli, by przez otwarte słowo prawdy — szczerze służyć najświętszej sprawie naszej — nie pytając się o koszta i więzienie.

To też żywimy nadzieję, szanowni Czytelnicy, że nam nie odmówicie poparcia, i że wszędzie, gdzie się tylko do tego sposobność nadarzy, podacie „Pracę“ z rąk do rąk i to na każdem zebraniu, przy każdej pogawędce i przy każdej sposobności, że zachęcicie przyjacieli i krewnych do jak najliczniejszego abonamentu, by przez to naszym wrogom dać dowód, że pomimo tak licznych procesów, kosztów i więzień — „Praca“ nietylko że nie upada, ale rośnie i rozwija się coraz bardziej — że można wprawdzie więzić redaktorów, lecz duch polski, który „Praca“ budzi, że ten coraz bardziej wzrastający duch i samowiedza ludu polskiego — nie jest do skrępowania. *Redakcya „Pracy.“*

Wiadomości.

Władza duchowna rozporządziła, że chrzty i śluby dla Niemców katolików i inne obrządki kościelne muszą jak dotąd odbywać się w kościele farnym, ale że na każdorazowe życzenie Niemców katolików obrządki te wykonywać będzie niemiecko katolicki ksiądz z kościoła pofranciszkańskiego i to bezpłatnie. — Oczywiście opłatę za chrzty, śluby itd. uiszczać muszą Niemcy katolicy przy kościele farnym.

Do skompletowania kwartalników potrzebne nam są Nr. 1, 3 i 5 z r. b. — Szan. Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam tychże, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Na Czytelnie ludowe nadesłało Towarzystwo Czeladzi polsko-Katolickiej w Ostrowie 15 mk. Zebraliśmy na cel powyższy 25 mk. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu: pp. St. Olejnik z Krążków 1,30 mk. zebrane tamże, Szynkowski z Troisdorfu 1 m., H. J. z Czempinia 3 mrk., zebrane na weselu p. Piotra Jaksa w Mikstacie 5,15 mk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 400 mk. 54 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 124 mk. 52 fen., pozostało zatem u nas 276 mk. 2 fen. Dalsze datki na cel ten chętnie przyjmujemy.

Walne zebranie przedwyborcze powiatu poznańskiego wschodniego odbędzie się we wtorek 26-go lutego w **Swarzędzu** na sali p. Marco o godz. 3-ciej. — Krótko przed dniem wyborów odbędą się wiece przedwyborcze w Głuszynie, Pobiedziskach i Swarzędzu na których także sprawa wykładu religii w szkołach poruszoną będzie.

Komitet wyborczy.

Bank Związku Spółek. W ostatnim numerze „Poradnika dla Spółek“ donosi dyrekcya Banku Związku, że kapitał zakładowy Banku, wynoszący dotychczas 500,000 marek, a podwyższony do miliona marek, został przez subskrypcyą aż do 31-go grudnia 1900 całkowicie rozebrany i w przeważnej części nie tylko czwarta część kapitału, t. j. 125,000 marek, ale dwie, trzy a nawet i wszystkie cztery raty całkowicie wpłacono. Podwyższenie kapitału zakładowego do miliona marek zostało do rejestru handlowego zapisane dnia 6 lutego 1901 r

Na dołączony do dzisiejszego numeru „Pracy“ *bogato illustrowany dodatek fabryki wyrobów złotniczych i składu wszelkich zegarków p. J. Białasa w Poznaniu, przy Wrocławskiej ulicy nr. 2,* zwracamy baczną uwagę Szanownych Czytelników. Pan J. Białas znany jest w szerokich kołach — tak w mieście Poznaniu jak i na prowincyi — jako sumiennny i rzetelny zegarmistrz, przeto śmiało go możemy wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom naszym polecić.

Szanownym Czytelnikom zwracamy baczną uwagę na anons pensyonatu panny Heleny Rzepeckiej przy ul. św. Marcina nr. 9 II p. pensyonat ten do Nowego Roku 1901 pod dyrekcyą panny Kardolińskiej cieszył się wielkiem zaufaniem u rodziców, którzy mu swe córki odwiedzające tutejsze pensye powierzali. To zaufanie panna Helena Rzepecka z pewnością będzie się starała nadal utrzymać.

Zwracamy uwagę, że panna Helena Rzepecka będzie przyjmowała także panienki przybywające do Poznania celem uczenia się szycia, książkowości, gotowania, śpiewu i malarstwa.

Dobra rycerskie Psienie (Steinhorst) pod Pniewami, obszaru 3000 mórg, z gorzelnią, pięknym inwentarzem itd. nabył od p. Ryszarda Schulza Niemca, p. Konstanty Sulerzyski. Szczęść Boże.

Wiec polski w Castrop w sprawie opieki duchownej odbędzie się w niedzielę dnia 24-go lutego po południu o godz. 4 tej w domu Czeladzi katolickiej (Gesellenhaus Minster strasse), na który zaprasza się wszystkich Rodaków z Castrop, Sodingen, Rauksee, Horsthausen i Kotenburg. Omawiane tam będą ważne rzeczy dotyczące Polaków tej parafii. Komitet miejscowy.

Gniezno. Dnia 16-go lutego pobłogosławiony tu został związek małżeński w kościele Farnym pomiędzy panną Wandą Dobrogoyską córką ś. p. Artura i Jadwigi z Leliwa Krajewskich Grabia-Dobrogoyskich z Prusinowa, a panem kapitanem Kazimierzem Grudzielskim z Nowego Monasteru, synem Wojciecha i ś. p. Alfonsyny z de Morin Korab Grudzielskich z Sołeczna. Młodą parę pobłogosławił ks. proboszcz Bogdański z Mielżyna w asystencyi ks. proboszcza Piotrowicza z Gniezna i ks. proboszcza Łabędzkiego z Wrześni, który w wymownych słowach przemówił od ołtarza do nowożeńców. Liczny orszak weselny podejmowali z staropolską gościnnością wujostwo panny młodej, radzcostwo Thielowie z Wrześni w hotelu Europejskim. Arcybiskup Ksiądz Stablewski nadesłał piśmienne błogosławieństwo z serdecznemi życzeniami, jako dawny przyjaciel obydwóch rodzin. Prócz tego nadeszło około tysiąca telegramów, pomiędzy temi kilka z Afryki i Azyi od towarzyszy wojskowych młodego pana. „Szczęść Boże“ młodej parze.

Portret Kościuszki będzie zajmował 25-go b. m. Izbę karną sądu ziemiańskiego w Gnieźnie. Właściciel składu obrazów p. Szymczak został bowiem oskarżony o podburzanie jednej części ludności przeciwko drugiej, ponieważ sprzedaje portret Kościuszki, tudzież obraz, przedstawiający przysięgę Kościuszki na rynku krakowskim, papier listowy z koroną polską i karty korespondencyjne z orłem, pogonią i św. Michałem, oraz z napisem: „Boże zbaw Polskę.“ Prokuratorya widzi w tem chęć przypominania o polskich powstaniach i pobudzania do nowych powstań.

Wolsztyn, dnia 16 go lutego 1901. Staraniem Towarzystwa Przemysłowego we Wolsztynie odbył się w niedzielę, dnia 10 go b. m. na wielkiej sali hotelu „Victoria“ obchód jubileuszowy ku uczczeniu Henryka Sienkiewicza przy wielkim udziale Polonii z miasta i okolicy. Obchód rozpoczął się przemówieniem wstępnem X. Prezesa Rosenberga — kończącem się trzykrotnym okrzykiem na Sienkiewicza. Potem wypowiedział prolog „Cześć Sienkiewiczowi“ sekretarz Towarzystwa Przemysłowego p. Miedziński, poczem nastąpił odczyt o Sienkiewiczu jednego z członków Towarzystwa p. Stery. Następnie odegrano jednoaktówkę „Podejrzana osoba“, poczem pan Skibiński, członek Towarzystwa w stroju włościanina wypowiedział monolog „składanie hołdu Sienkiewiczowi przez włościan.“ Całość zakończono dwoma żywemi obrazami z dzieł Sienkiewicza: „Napad Bohuna na Kurcewiczów w Rozłogach“ i „Pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem.“ Tak panie jak i panowie amatorowie wywiązali się ze swego zadania doskonale, dlaczego też publiczność nie szczędziła oklasków. Po obchodzie bawiono się ochoczo i wesoło późno w noc.

Od Redakcyi.

P. Wiśniewski. Exkrotoszyniakowi na łamach „Pracy“ nie mogliśmy udzielić gościnności, skoro to samo posłał i do innego pisma. Korespondencye umieszczamy tylko oryginalne.

Baczność Rodacy na Obczyźnie! Poczta zwróciła nam, jako niedoręczalne, następujące listy do towarzystw polskich na obczyźnie: Towarzystwa „Jedność“ w Dortmundzie, „św. Wojciecha“ w Dortmundzie, „św. Józefa“ w Bankau, „św. Michała“ w Duisburgu, „św. Antoniego“ we Frohnhausen, „św. Antoniego“ w Altendorfie, „Koło śpiewu“ w Gelsenkirchen, „św. Wojciecha“ w Monastyrze.

Uprasza się te Towarzystwa o podanie bliższych adresów.

Szan. Towarzystwu kupców i młodzieży kup. w Inowrocławiu. Oświadczenia nadesłanego nam łaskawie, nie umieszczamy, ponieważ widzimy, że Towarzystwo umieszcza nadal swe komunikaty w *„Dzien. Kuj.“*, więc wnosimy, że znowu zgoda. Chcielibyśmy postąpić w myśl intencyi Szan. Towarzystwa i pozdrowienia przesyłamy.

P. Urbanowicz. Przepraszamy, żeśmy tak długo nie odpowiadali, ale zajmowały nas listy z Westfalii. Taki skład polski papieru jest A. Rose, Poznań, w Bazarze. — Za nadesłany wycinek dziękujemy. O referat z każdego wieca prosimy.

Pana Chorąziaka w Goch prosimy o wiadomości o tamtejszych obieżysasach.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Pensyonat mój

dla uczennic do szkół wyższych uczęszczających, oraz dla panienek **dokształcić się mających prywatnie** polecam uwadze 83

Rodziców i Opiekunów.

Opiece mej powierzone uczennice znajdą w domu mym pomoc w przygotowywaniu zadań szkolnych, **sposobność wydoskonalenia się w języku ojczystym** oraz wprawiania się w rozmawianiu językami francuzkim czy angielskim córki dorastające lub dorosłe, które rodzice powierzyć mi zechcą, znajdą sposobność i bodźca do sumiennego wypełniania włożonych na nie obowiązków.

Poznań, św. Marcin 9 II.

Helena Rzepecka.

Warunki przystępne.

Szkoła gospodarstwa domowego dla dziewcząt

pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza 76

w Rokitnie (Rokitten)

(powiat Skwierzyński, poczta w miejscu).

Początek semestru latowego 10-go kwietnia r. b.

Prospekty rozsyła bezpłatnie

Siostra Rafaela, przełożona.

W konc. Zakładzie Fröblowskim i w szkółce dla młodszych dzieci

rozpoczynają się nauki w czwartek 11 kwietnia. Zapewnia się pieczołowitą opiekę, sumienną i skuteczną naukę, obszerne zdrowotne mieszkanie z ogrodem. 81

Po bony, ochroniarki i wychowawczynie Polki, Niemki i Francuzki można się zgłosić *bezpłatnie do zarządu.* Pensya tych panien: od 180 do 500 m. (z muzyką i francuzkiem).

Walerya Puffke, przełożona zakładu.

Poznań, Długa ulica 4.

Rodzicom którym zależy na wychowaniu córek w duchu religijnym i narodowym polecam mój

pensyonat,

w którym panienki znajdą obok troskliwej opieki sposobność do gruntownego wykształcenia w języku ojczystym. Konwersacya francuzka i niemiecka pod kierunkiem egzam. nauczycielki. 85

M. Gońska,

Bydgoszcz, Kasernenstrasse 9.

Dobra sposobność!

Mój od 60 lat egzystujący a od 30 lat w posadaniu mej rodziny dobrze prosperujący

skład kolonialny,

zarazem podług najnowszych wymagań świerzo urządzona

restauracya i skład win,

ako i zwyczajny

wyszynk i zajazd,

mam zamiar od zaraz pod nader przystępnemi warunkami sprzedać. Zabudowania w dobrem stanie. Zadatek 15 do 18000 mk. 62

Georg Suchanek,

Lublinitz, o/Schl. Rynek.

Lecznica,

Poznań, Stary Rynek 74 I.,

otwarta codziennie od godz. 9—1 z wyjątkiem świąt.

Na choroby krtani, nosa i uszu od 9—10 godz.

Na choroby ócz we wtorek, środę i piątek od 9—10 godz.

Na choroby skórne i płciowe w środę i sobotę od 9 do 10 g dz.

Na choroby kobiece od 10—11.

Na choroby chirurgiczne od 10—11 godziny 73

Na chor by skórne i wewnętrzne od 12—1 godziny.



Edmund Paulus

Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 33

R. Tilgner, Pleszew.

Płaszcze gumowe nieprzemakalne, fabrykat angielski, ceny bardzo tanie. Dla Panów od 20 do 30 mk. Przy zamówieniu wystarczy nadesłać objętość piersi, i objaśnie wysokoś i osoby. Przesyłka za zaliczką, którą ewentualnie się zwraca. 728

Karty Wizytowe

100 sztuk od 1,50 Mr. począwszy wykonuje i odwrotną pocztą wysyła

Drukarnia „Pracy"

Poznań, Rycerska ulica Nr. 38.

Telefon Nr. 295.

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne

J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,

545 **Fryderykowska 78.**

(Właśc. firmy: **A. Mühle i W. Ziołecki.**)

Spółka Stolarska

Poznań, Grobla 4,

poleca

MEBLE

od skromnych do nader wykwintnych po najniższych cenach.

Cennik odwrotnie franko. 733

Osiedliłem się jako 90

weterynarz

w Śremie (Hotel Victoria).

M. Szymański, weterynarz.

Elektryczne

Gromochrony

Dzwonki

Telefony

Światło

Siłę

Elektryczne

zakłada, naprawia, rewiduje szybko i poprawnie pod gwarancyą 664

F. Biskupski, Poznań

Specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznej.

Nr. 11 ul. Berlińska Nr. 11

pierwsze! piętro pierwsze!

Firma fundowana w r. 1880. Telefon Nr. 108.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für Monat März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„PRACA"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 42 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 42 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.... *, den* ....

Kaiserl. Post ....